WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA W KRAKOWIE WYNOSI: DO KOŃCA ROKU 4 KORONY.
NUMER POJEDYŃCZY 20 h.
20 CENTIMÓW, 20 FENIGÓW, 10 KOP.

GŁOS
LITERACKI I SPOŁECZNY.

WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA ZAMIEJSCOWA WYNOSI: DO KOŃCA ROKU 5 KORON.
ZA GRANICĄ — 5 MAREK, 5 FRANKÓW ALBO 2 RUBLE.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon Nr. 309. Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI.

„Głos literacki i społeczny“ dołączany jest jako bezpłatny niedzielny dodatek dla wszystkich abonentów dziennika „Głos Narodu“.

Nr. 15. Kraków, dnia 21. października. 1900.

„Rozmodlony Kraków“.

Stary, siwy, pełen wspomnień i pamiątek Kraków — modli się... Modli się ciągle — od najpierwszego ozwania się rano hejnału z wieży Maryackiej, od pierwszego głosu dzwonu porannego począwszy, od tej chwili świtu, w której pierwsze błyski słońca odbija się na ramionach krzyżów wzniesionych po szczytach kościelnych, aż do ostatniego echa wieczornych dzwonów — Kraków modli się..

Kto wątpi — nie wierzy — kto ostygł w uczuciach wyższych nad ziemskie troski — kto goniąc za chlebem i złotem nie widzi krzyżów lśniących wysoko, ten wypowiada: — „dewocya“ — „bigoterya“ — „klerykalizm“... ten mówi, iż Kraków zacofany — rozmodlony, ani wie, ani wiedzieć chce o tem, co duch czasu niesie i co z falą „postępu“ wali się na niego...

Ale kto nie utopił ducha w jarmarcznej frymarce o byt — kto w potędze sił moralnych widzi moc narodu, kto patrzy na prawdę cnoty jako na najcenniejsze skarby, ten mówi z Kremerem: — „Kraków rozmodlony“ — stary — cichy, lecz drogi nam...

Powiedziano parę razy, iż tak jak Kraków urządza pogrzeby drogich poetów — nikt lepiej nie potrafi... byli tacy, co powiedzieli, iż tak jak Kraków procesye urządza — chyba także nikt lepiej nie potrafi.

Procesye Krakowa piękne są — poważne i mają swoją cechę indywidualną, odmienną, charakterystyczną, tak w każdym razie pełną majestatu, iż zaprawdę nigdzie nic podobnego nie obaczy się.

Patrzyliśmy w niedzielę na procesyę Różańcową. Co za las sztandarów, chorągwi, mniejszych i większych, barwnych świeżym kolorytem i wypłowiałych od starości! Ile światła — ołtarzyków, krzyżów z rozpiętymi na nich ramionami Zbawiciela — ile śpiewu — szeptu modlitw — odgłosów dzwonków i dziwnej mowy paciorek różańca przesuwanych w rękach, częstokroć bardzo zgrubiałych od pracy i oczerniałych od mozołu.

Wszystkie mury starych kamienic zdaje się przy tym pochodzie bractw, sztandarów, krzyżów i chorągwi — zmieniają się w wielkie posągi przeszłości, która patrzy i mówi. Ona zna dzieje długiego pochodu wieków i umie echem tych ścian martwych odpowiadać modlitwie ludu krakowskiego. To pewne, iż wszystkie te liczne bractwa — stowarzyszenia i „kompanie“ zebrane razem, a przesuwające się przez ulice innego miasta, nie harmonizowałyby może tak jak w Krakowie w obliczu wieżyc Maryackich — poważnych Sukiennic i tego hejnału, który do głębi duszy umie przemawiać swojem brzmieniem...

Płynie procesya falą różnobarwną. — Tu — grono dzieweczek w białych ubożuchnych sukienkach, tam bractwo mężczyzn w strojach kościelnych, tu długi pochód kapłanów — zakonników — kleru. Tu szumią dziwną muzyką wspaniałe chorągwie, które są już bardzo dawne i gdyby mogły opowiadać na co patrzyły w swoich pochodach — możebyśmy nie jednę łzę uronili...

Obok nas stoi tłum liczny. Jedni szepty swoich modłów łączą z modłami mijającej procesyi — drudzy robią uwagi szydercze i patrzą na pochód wiernych jak na dziwowisko dziwnie zastarzałe i dziś — niepotrzebne!... Jedni śmieją się z dziewic z liliami, drudzy czekają rychło li muzyka nadejdzie, a są i tacy, co radziby pójść jak najprędzej, tylko przejście zamknięte.

Niebo pogodne — jasne, jak to oko Bożej Opatrzności, które czuwa i widzi wszystko.

Ucichł gwar przekupniów — zamilkły sklepy i targowiska codzienne, rynek nie jest teraz miejscem handlowego ruchu — lecz wielką świątynią i kościołem rozmodlonego Krakowa.

Idą i idą... Śpiew brzmi poważnie — serdecznie — uroczyście. Jaki to pochód? Kto idzie za tymi krzyżami — pod temi chorągwiami — kto łączy swe głosy w śpiew choralny? Kto te świece niesie w długi pochód szeregu? Wszak mówią — powszechnie mówią, iż ci najubożsi — najciemniejsi zbłąkali się — że złe wpływy, agitacye, namowy zachwiały wiarę — oziębiły serca, że socyalizm porwał ogromne szeregi i — już je ma.

Idą tu przecież biedni ludziska, których czoła poorała troska i niedola, a wyraz ich twarzy tak pogodny, tak cichy, tak piękny, iż istotnie jakaś potęga od nich bije i szacunkiem każe tych ludzi otoczyć. Rozumiemy! To wielka siła życia spędzonego w pracy — życia nie zmarnowanego na próżniactwie... Widzicie tę kobietę? Ile ona nocy nieprzespanych ma zapisanych na swojem czole — ile łez wypłakanych znać na tych licach, które zbladły jak dawno — dawno słońca niewidzący kwiat... Ten sznur korali na szyi, ta chusta zawiązana na głowie — to ubranie typowo-mieszczańskie czy nie ładne?... A jej głos czysty złączony w chór pieśni różańca czy nie milszy nad jakieś trele obce — sprzedane — zapłacone?...

„Chwała Ojcu — Synowi — Duchowi Świętemu“ śpiewają obok nas.

Doprawdy! zginamy kolana z wielkiem uczuciem rozrzewnienia. Coś w głębi serca szepce niby wyrzutem sumienia, żeśmy zubożeć dali swe życie i nie umieli tak głosić chwały Boga — Syna i Ducha — coś nam rwie z ust modlitwę na usta, codziennie powtarzaną, ale nie zawsze tak szczerą i gorącą. Chorągwią wiatr porusza. Szelest jej szepce nad głowami tłumu słowa modlitwy. Idzie — płynie — chwieje się — krzyż czarny, ubogi, a na nim zwisła głowa w koronie cierniowej. Światła drżą — migają — dziewic szeregi donośnym głosem śpiewają; Zdrowaś Marya, łaskiś pełna...

Więc tak modli się Kraków?.. Jakże on ma wiele z dawnej Polski w sobie, gdy może w uroczystej procesyi otoczyć rynek cały tysiącami wołającymi „Chwała Ojcu — Synowi — Duchowi świętemu“!!... Zaiste!... Taki pochód to chwała! Chwała Bogu i chwała narodowi, który umie przechować wiarę żywą i czynną wśród tych, co pragną ją zniweczyć i zgasić...

Niechże staną w takiej chwili wobec ciągnącej procesyi Krakowa, ci — co chcą „oświecać lud“ i wieść go w drogę bezwyznaniowego odrodzenia. Niechże przyjdą tu ci — co mówią, że „czasy cudów i pobożności minęły, a teraz są dnie targu i zarobku“ — niech staną w twarz tym tysiącom wiernych rozmodlonych ci, którzy wołają, że kapłani nie pracują i ludu nie wiodą zbawienną drogą!...

Ale ich nie ma!...

Procesya posuwa się dalej. — W wieńcu chorągwi — sztandarów — lilij — świateł — róż i dziewic niosą cudowny obraz Matki Boskiej...

Mgła zasłania nam oczy.

Modlimy się!..

— — — — — — — — — — — —

Poza baldachimem wali się tłum szary — tłum zbity — nieprzeliczony, lud, kobiety, starcy, dzieci, dalsi — bliźsi, wszystko to z pieśnią idzie i wierzy, iż modlitwę Bóg słyszy — serca ludzkie Jego Oko do głębi przenika — z brzegiem mogiły nie kończy się życia ludzkiego istnienie.

Ah!.. jak szczęśliwi są ci, co wierzą!.. Czemuż przecie tylu wydarto skarb wiary z serca?

Czemuż dla tych zagrodzono tę drogę równą i jasną? Czemuż tak zanadto wielu odparto od kościoła, choć niby zwą się jego dziećmi?..

Szary mrok bolu psuje nam wrażenie świętości... Chcemy jeszcze rzucić okiem na ten pochód wielki i jeszcze spojrzeć na tych, co idą, a nie stoją w procesyi...

Więc te dziewczątka strojne w białe sukienki? To biedne pracownice z magazynów, córki rękodzielników walczących z konkurencyą obcą, to panienki, które nieraz ofiarą wielu nocy nieprzespanych taką sukienkę zdobywają. Bo bogata panna przecież na procesyę nie pójdzie. Bogata — stoi i — krytykuje.

Te kobiety?.. Ubogie, częstokroć bardzo biedne, które u stóp ołtarzy szukają siły w swoich troskach i trudach. Bogata żoną rękodzielnika, pani można — już wszakże z procesyą taką nie pójdzie. A ci mężczyźni?.. To lud — lud robotniczy, rękodzielniczy, mieszczanie...

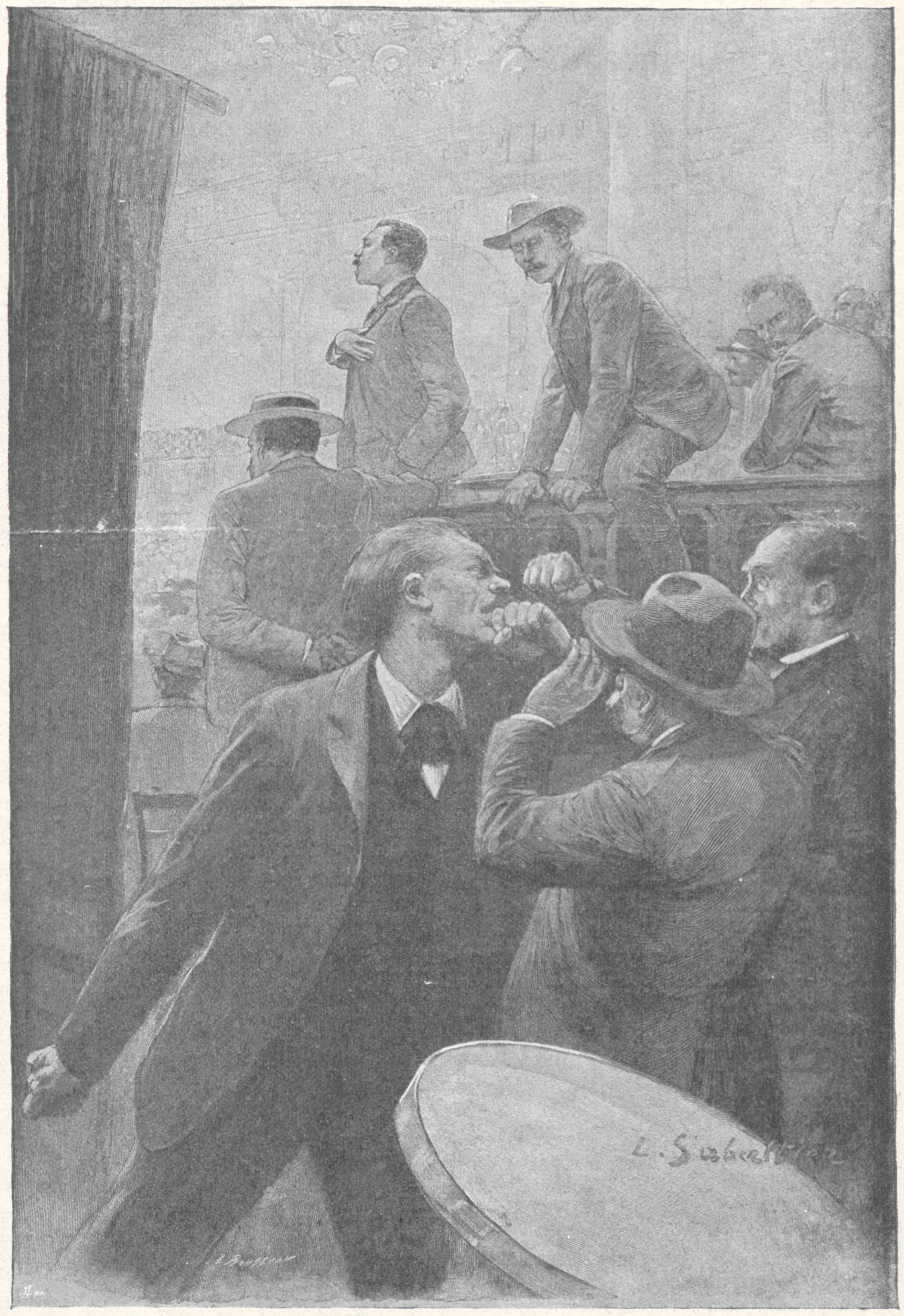
Rozmodlony Kraków — to Kraków pewnych sfer i warstw...

Do tych sfer właśnie socyalizm bije i ciśnie swoją modą i bożkiem „bytu“ chce rozwalić „przesądy“ wiary, ale twierdza nie łatwa do zdobycia.

Tych nie można zwać obojętnymi — których w szeregu bractw nie widzimy, ale jakoś mimowoli oko za niemi szuka i serce o nich pyta.

Niebo rumieni się zachodem słońca. Mury kamienic przyoblekają się w mgliste osłony welonów mniszek idących na pacierze. Wieża

Z kongresu socyalistycznego w Paryżu.

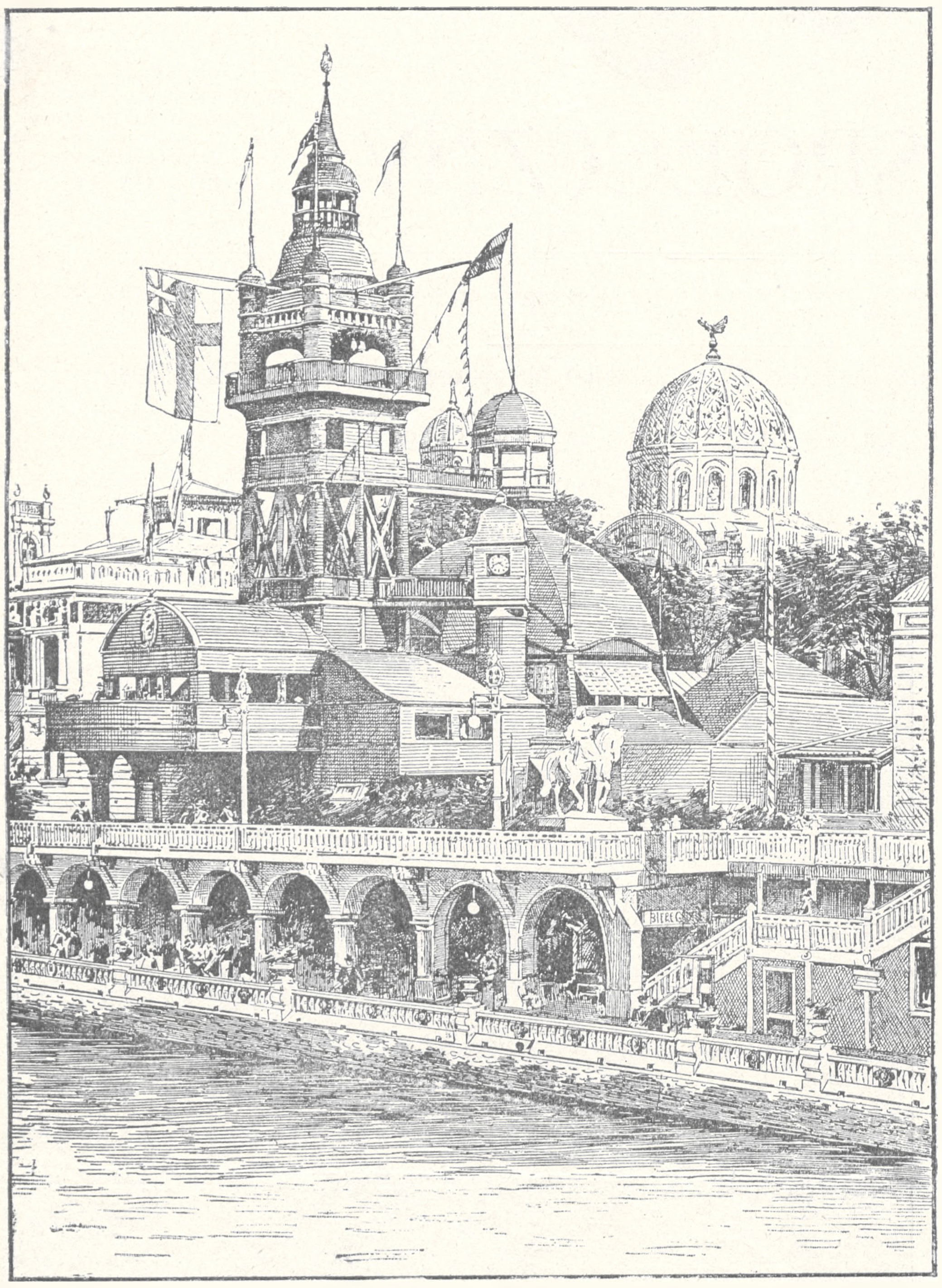


Mowca na trybunie: »Drodzy towarzysze! Jedność, zgoda!«
Z poza trybuny: »Łajdak! Łapownik!«

Maryacka strzela wyniosłą swą formą, aż pod bladą twarz księżyca, a procesyi pochód oddala się — śpiew jego ucicha i — — rynek staje się pusty...

Myślicie, iż tak modlą się jeden dzień?... Idźcie od kościoła do kościoła — ilu znajdziecie w rozmowie z Bogiem? Polski Rzym — nie zmienia się w giełdowe targowice... Kraków wierny i modli się... a więc — — nie łatwo go zdobyć!...

Z Wystawy paryskiej.



Pawilon Wielkiej Brytanii na ulicy Narodów.

Za dawnych, dobrych lat.

Noc czarów.

I.

Pozbył się imcpan Maciej
Fortuny po rodzicu,
Ma w zamian nos, jak rubin,
I krwawy pons na licu.
Urosło mu brzuszysko,
Jak właśnie beczka z winem.
Lecz wedle mieszka — Maciej
Jest całkiem zrównan z gminem.
Małmazje lubił zbytnio,
Przepadał za rywułą,
Dla seków, alikantów
Miał duszę wielce czułą.
Ta czułość go zgubiła,
Zesłana nań od czorta. —
I wczora spił się właśnie
Za ostatniego „orta".

II.

W zadumie siedzi Maciej
Patrycjusz z prapradziada.
Zachodem niebo gore,
Na miasto mrok opada.
Dwurogi księżyc srebrny
Nad farną wieżą błyska, —
Maćkowi jakoś ckliwo.
Żal serce mu uciska.
Ot, gdyby tak choć talar!
Toż miałbym sute gody!
Ochocze skrzypiec granie
Dolata od gospody.
Rozmyśla srogo Maciej,
I sam ze sobą gada,
Aż krzyknie: „Eureka!" —
(Erudyt był nielada!)

III.

Za miasto dąży Maciej,
Za miastem bór się chwieje
I szumem dębów gwarzy
Prastare jakiej dzieje.
Wskroś liści nów ponury
Trupie rozlewa blaski,
A w głębi puszczy słychać
Nocnego ptactwa wrzaski.
Macieja nic nie straszy,
Rycerską ma fantazję
A gdy animusz słabnie,
To wspomni na małmazję.
Ta myśl go krzepi wielce,
Wigoru mu dodawa,
Choć przecie nie przelewki:
Z biesami nocna sprawa!

IV.

Na borg wziął Maciej w szynku
Flaszczynę akwawity:
Wiadomo: na majaki
To kordjał znamienity!
Ot, w gęstwi coś połyska,
Jak ślepie wilkołaka,
Pan Maciej łyknął z flachy:
Wilkołak dał drapaka.
Hej! we mgle nad jeziorem
Tańcują topielice!
Gol, Maćku, dla kurażu!
I prosto na zwodnice.
Ćma cała djabłów leci,
Chrześciańskiej duszy głodna —
Ratuj się, mościpanie!
Do dna, Macieju, do dna!

V.

Uf! sapnął cny patrycjusz.
Strach odszedł odeń zgoła.
Paproci poszukując
Rozgląda się dokoła.
Już północ bije zdala
Na wieży ratuszowej.
Zakwitnie lada chwila
Cudowny kwiatek owy.
Już błyska! już go Maciej
W kraciastą chustkę chwyta. —
Fortunny ten przypadek
Sprawiła akwawita.
O, trzykroć szczęsna chwilo!
O, któż twój czar wypowie!
Są wszystkie skarby ziemi
Otwarte Maciejowi!

VI.

I widzi z błogim dreszczem
Jak gdzieś w podziemnej sali
Zaklęta kupa złota
Krwawym się ogniem pali.
Djamenty leżą w stosach.
Jeno je brać garściami.
Tam błyszczą zausznice
Z drogiemi manelami.
Lecz widok najpiękniejszy
Szczęśliwca myśl zaklina:
Antały mchem porosłe,
A w nich klarowne wina!
Zaś beczek tych szacownych
Jest liczba tak bogata,
Że można pić z kompanją
Choć do skończenia świata!

VII.

W tem nagle z dumań złotych
Smętnie się Maciej budzi:

„Psubraty".

Powieść na tle stosunków współczesnych.

(Ciąg dalszy.)

Gdzie Adolf Spitzbart poznał piękną Sali Windstern i jakie go z nią łączyły stosunki, to było ich tajemnicą. Dawny kelner oberży pod Złotą Armatą był przyjmowany o każdej porze dnia przez słynną divę, odbywał z nią często długie konferencye, często nawet wyjeżdżał z nią razem w zamkniętej karecie na miasto, a służba panny Windstern przyzwyczaiła się uważać go za kogoś, kto miał w tym domu więcej praw, niż ktokolwiek inny.

Spitzbart niedługo czekał w niebieskim buduarze. Piękna „diva" otrzymawszy jego bilet, bezzwłocznie rzuciła swoich gości, wbiegła do buduaru i jednym skokiem znalazła się na kolanach Adolfa.

— Niedobry! Niedobry! zawołała. Już całe trzy dni nie byłeś u mnie. Wyobraź sobie, jakiś książę perski był u mnie wczoraj z wizytą. Jak myślisz, ile mu kazać zapłacić?

— No, przynajmniej z dziesiątek tysięcy. Ty masz szczęście! ja ci mówiłem, że ty będziesz miała szczęście. Na tym księciu perskim, to ja powinienem z tysiąc guldenów zarobić...

— Zwaryowałeś! krzyknęła Sali, zrywając się z kolan Spitzbarta. Tylko bez naciągania, proszę cię, Adolf; ty wiesz, że ja tego nie lubię. To, co przychodzi za twojem pośrednictwem, od tego masz swoją prowizyę a jeszcze w dodatku masz pole do oszukania mnie. Prócz tego pomagam ci prawie bezinteresownie do twoich interesów, oddając nieraz za darmo, komu ci potrzeba, to, za co inni płacą tysiące...

— No, no tylko nie przedstawiaj tego jako zbyt wielką ofiarę, Sali... Ty to robisz z amatorstwa, już ja ciebie znam... Pamiętasz, jak cię bardzo wtedy prosiłem o wydarcie sekretu państwa Ekscelencyi Knopfowi, który się tarzał u twoich stóp... Nie chciałaś...

— Wstrętny, ohydny garbus... Pfuj! A zresztą, hola! Ja miałam wtedy podejrzenie, że ty mnie chcesz oszukać... Knopf może płacić, może dużo płacić... a ty nie pozwoliłeś brać od niego pieniędzy. Mnie się zdaje, że ty chciałeś sam od niego wziąć... Ale co tam, stało się... Chciałeś się ze mną widzieć w ważnej sprawie... Pewnie jakiś nowy szantaż.

Adolf Spitzbart opowiedział pokrótce pięknej Sali, że idzie o to, aby zapobiedz opisywaniu w prasie pewnego zdarzenia policyjnego, przy którem wymknęło się władzy dwoje osób pilnie poszukiwanych. O znajomości swojej z Müllerem nie dodał ani słowa; nie wymienił nawet nazwisk obojga zbiegów.

— Powiedz tylko Frischenfeldowi, niech się tem zajmie, żeby nigdzie nie było ani słówka o tem, co się stało wczoraj w Unionbanku przy wypłacie depozytu Simche Bukszpana z Buenos-Aires. On już zapewne będzie wiedział o co chodzi; jeżeli zaś nie wie dotychczas, niech się dowie w policyi, ale na to jedynie, aby dopilnować wszędzie gdzie trzeba wyrzucenia wszystkich w tym przedmiocie wzmianek. Oto wszystko.

— Tylko tyle? Ach, to możesz uważać tę bagatelę za załatwioną, jeżeli tylko tymczasem który z reporterów nie zrobił ci figla i nie opublikował tej wiadomości w dziszejszem rannem, albo w południowem wydaniu któregokolwiek dziennika.

— Oba wydania dzisiejsze wszystkich dzienników już czytałem, niema w nich ani słowa. Zdaje się, że policya trzymała rzecz w głębokiej tajemnicy przed dziennikarzami, bojąc się, aby notatki gazeciarskie nie przestrzegły zbiegów o zarządzonych za nimi poszukiwaniach. Zapewne dziś wieczorem agencya Wilhelma wyda odpowiedni komunikat do gazet. Idzie właśnie o to, aby temu komunikatowi kark skręcić.

— A co ja za to dostanę? — zapytała Sali mizdrząc w uśmiechu swoje białe zęby.

— Na razie tylko moją wdzięczność i mój całus, a po załatwieniu interesu i zrealizowaniu honoraryum — mały pierścionek wartości czterysta do sześciuset guldenów.

— Mało, mało strasznie — skrzywiła się Sali. — W każdym razie zamiast pierścionka wolę gotówkę. Tych świecideł przynoszą mi takie masy, że już musiałam niektóre z nich posprzedawać. Czy to nie szkoda, żeby tyle kapitałów leżało bezprocentowo...

— Ty Sali nie aktorką, ale bankierem powinnaś była zostać — zaśmiał się Spitzbart, biorąc za kapelusz. — Ale... ale... jadę teraz do Efroima i może wyjadę z nim do Berlina na kilka dni. Telegrafuj mi do Hotel London o tem, jak się Frischenfeld spisał. Czy masz co do Efroima?...

W oczach Sali zabłysł wyraz gniewu i zniecierpliwienia:

— Powiedz temu szmajgełesowi, żeby mnie raz wypuścił ze swojej opieki. Wiesz Adolf, on chyba zwaryował! Nie zgadniesz kogo do mnie temi dniami przysyłał?! Jakiegoś posła od rabina z wezwaniem, abym się stawiła przed nim w sprawie mojego rozwodu! Ja mam w pięcie całego Efroima i cały rozwód z nim. Na co mi rozwód? Co Efroimowi i rabinowi do mnie? Niech on będzie kontent, że ty jemu dajesz zarabiać i że dzięki mnie to zarobkowanie wcale nie źle wam się powodzi! On by teraz zapałki sprzedawał na ulicach i zdychał z głodu, gdyby nie to, że ani nie wiedział jak dano mu najpiękniejszą kobietę na świecie za żonę...

— Patrzcie, jakaś ty zarozumiała Sali! Wtedy, kiedyś ty wychodziła za Efroima, byłaś chudym i brudnym dzieciakiem, na którego nikt nie patrzał. Gdyby mi wówczas powiedziano, że za kilka lat ty będziesz tem, czem jesteś a ja będę twoim kochankiem, roześmiałbym się na całe gardło...

W chwilę po tej rozmowie, dorożka niosła Spitzbarta w zaułek Leopoldstadtu przed ubogie mieszkanie Efroima Windsterna, męża uwielbianej przez cały Wiedeń diwy, która tymczasem klęczącemu przed nią wpływowemu dziennikarzowi wydawała kategoryczne rozkazy.

— Pamiętaj Frischenfeld — mówiła mu — jeżeli słówko o tej sprawie będzie w jakiejkolwiek gazecie, nie masz się poco u mnie pokazywać. Przestaniesz dla mnie egzystować i zakażę cię wpuszczać. Dowiedziesz, że jesteś zerem, z którem nie warto mówić. No, precz! Jeszcześ tu? Czyń swoją powinność; pojutrze pozwolę ci się odprowadzić po teatrze do domu... Jeżeli pokażesz, żeś się na coś zdał, będziesz mógł ze mną wypić szklankę herbaty. No — „paszoł won", jak mówią u nas w Odessie...

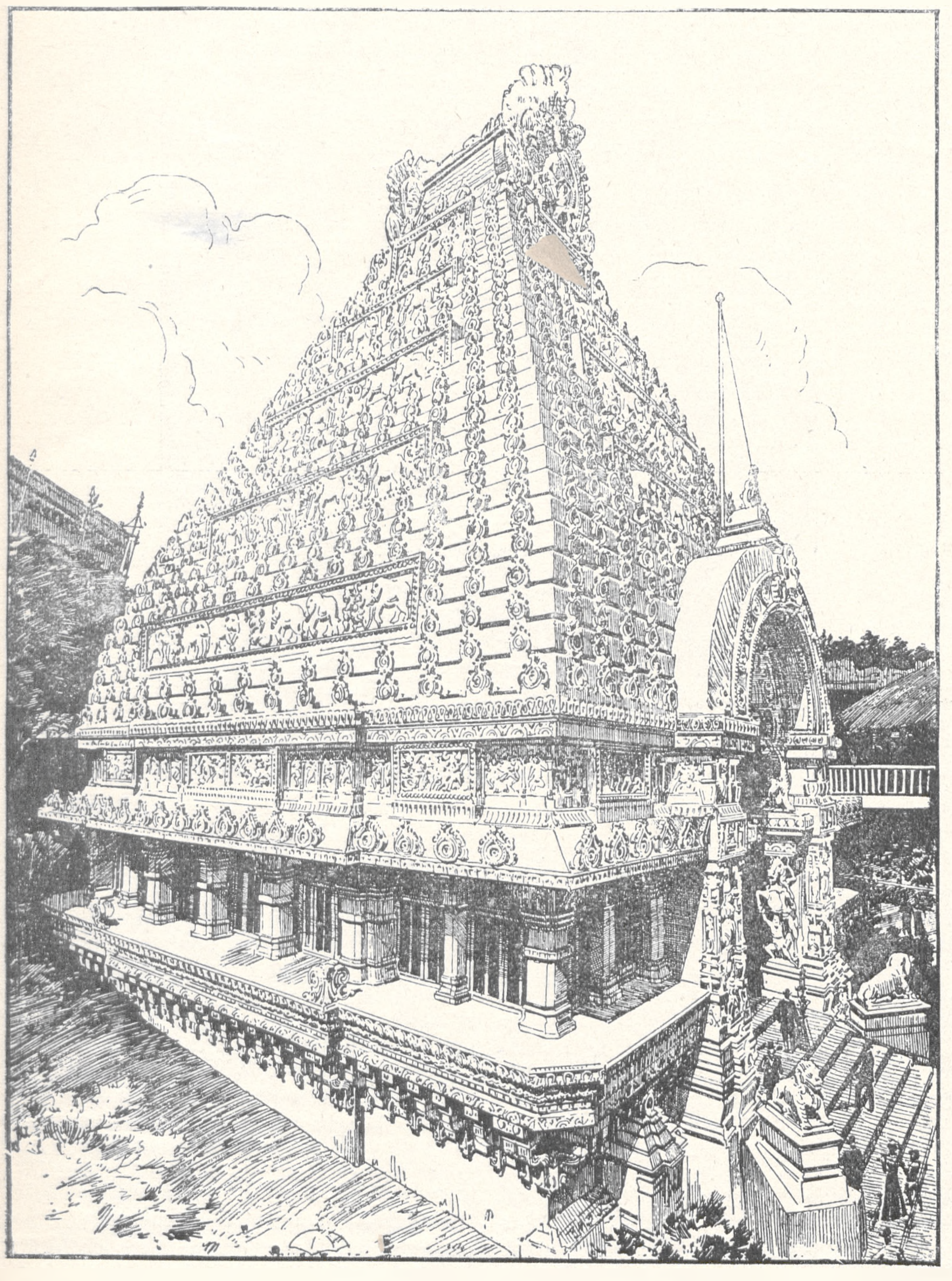
Efroim Windstein miał zaledwie lat dwadzieścia jeden; kiedy się żenił w Odessie z piętnastoletnią córką bardzo ubogiej sklepikarki miał zaledwie lat szesnaście. Efroim był piegowaty i rudy; jasno czerwone pejsy odbijały rażąco od cienistej cery; utykał przytem nieco na jedną nogę. W małych, zaczerwienionych chronicznem zapaleniem oczach błyszczał spryt, w krzywiącym twarz uśmiechu zaznaczała się chytrość i złośliwość. Efroima ożeniono z Sali dlatego, że oboje nie mieli co jeść; swat rzekł mu w swoim czasie:

— Ty Efroimie nie jesteś głupi. Ty wiesz że każda rzecz na świecie da się obliczyć na pieniądze; a choć ty teraz nic nie masz, bo twój ojciec najpiękniejsze lata, w których inni zarabiają, w kryminale przesiedział, i tak się tem zgryzł, że potem, kiedy na Odessę ta brzydka choroba przyszła, jeden z pierwszych z przestrachu umarł, zanim cokolwiek zarobił,— to ty wartość pieniędzy znasz i do nich dojdziesz. Przypatrz ty się tej chudej brudnej Salce od sklepikarki. Na nią teraz nikt nie patrzy, ale ja się na tem znam; nie upłynie trzy lata, a wszystkie goje wielkiego świata i bogatsze panowie od naszej wiary będą za nią warjować. Już ja ci to mówię Efroim! Ja w tym fachu pracowałem. Twoja głowa w tem, aby to na pieniądze przemienić. (D. c. n.)

Wacław Pancerz.

Tarmosi go haniebnie
Gromadka zbrojnych ludzi.
Patrzy: to miejska wachta
Podnosi go z pod płota...
Ni lasu, ni paproci,
Ni zaklętego złota.

Z Wystawy paryskiej.



Pawilon Indyi francuskich na Trocadéro.

Przetarł pan Maciej oczy:
Tfu! cóż to u kaduka?
Wżdy w pole mnie wywiodła
Djabelska jakaś sztuka!
Oszukał mnie Belzebub,
Człowieczych krzywd nie syty,
A morał: snać za mało
Łyknąłem akwawity...

Or-Ot.

Wojna lub rozbrojenie — konieczność socyalna.

Komitet Monachijski, zajmujący się propagowaniem idei „ogólnego pokoju" wydał niedawno w Berlinie nakładem Vita bardzo ciekawą broszurę pod tytułem „Przyszła wojna", ułożoną na podstawie dzieła Jana Blocha tego samego tytułu. Broszura ta w sposób zwięzły i wyczerpujący daje bardzo dokładny pogląd na ten olbrzymi a jeszcze kosztowniejszy mechanizm, jakim jest nowoczesny militaryzm. Głównym celem tej broszury jest zachęcić wszystkich przyjaciół pokoju do wspólnego działania, celem obalenia tego strasznego molocha, pochłaniającego rok rocznie olbrzymie majątki wszystkich państw i narodów. Treść tej niezwykle aktualnej broszury da się objąć krótkiem zdaniem:

Tak zbrojny pokój współczesny jak i przyszła a konieczna wojna, sprowadzić musi ruinę całych narodów.

Gladstone, zmarły niedawno angielski mąż stanu, wypowiedział w parlamencie angielskim 16 czerwca 1893 pamiętne słowa: „wojna — to przekleństwo idące za cywilizacyą". I nie omylił się, bo dziś chyba nikt niezdoła się zaprzeczyć temu, zwłaszcza jeżeli zważy na ten niezwykły postęp na polu nowoczesnej techniki w udoskonaleniu broni.

Kula z dzisiejszego wypróbowanego już karabinu 5-cio-milimetrowego trafia zwykłego mężczyznę w odległości 1100 metrów; jeżeli więc przedstawimy sobie konieczne zresztą zamieszanie na polu bitwy, to przyznać musimy, że na takiej odległości znaleść się musi jakiś człowiek lub istota żyjąca, która tem samem skazana jest na śmierć niechybną. Kula dzisiejsza, o stalowym pancerzu, roztrzaskuje kość ludzką nawet z odległości 2000 metrów, a proch bezdymny wzmocnił jeszcze działanie tej morderczej broni.

Karabin dzisiejszy odznacza się niezwykłą lekkością, żołnierz przeto może dźwigać przy sobie większą liczbę nabojów, i tak, kiedy w roku 1877 żołnierz miał przy sobie 84, dzisiaj ma ich 200.

Zdawałoby się więc, że udoskonalenie tych morderczych narzędzi, przedsięwzięte takim nakładem kosztów, że przeciętny człowiek nawet pojęcia należytego mieć o niem nie może, dosięgło swojej granicy i że ministrowie wojny i skarbu przecież raz przestaną domagać się nowych miliardów na „cele wojskowe" a narody swobodniej odetchną w przekonaniu, że krwawy ich grosz będzie użyty na produkcyę i cele dobra ogólnego... takby się zdawało, bo w rzeczywistości jest inaczej a co jeszcze ważniejsza, że inaczej będzie.

Państwa dzisiaj już noszą się z zamiarem dalszego udoskonalenia broni i w niedalekiej przyszłości usłyszymy w parlamencie niemieckim, że minister wojny zażądał nowych kredytów miliardowych na nowe karabiny, ponieważ te okazały się „niestosowne".

Te „nowe i stosowne" będą systemu rewolwerowego z aluminium, 3 milimetrowe, o 78 strzałach na minutę. Żołnierz będzie mógł nieść przy sobie nie 200 nabojów jak teraz, lecz 570. Nie trzeba zapewniać, że nowe to uzbrojenie pociągnie wydatki na miliardy...

Piękna perspektywa na przyszłość!... dziś już, przy dzisiejszem działaniu karabinów duże armie wyciągnięte w linii frontowej w przeciągu kilku dni, ba nawet godzin, mogą się zniszczyć zupełnie, cóż dopiero w przyszłości?...

Nowoczesne naboje artyleryi, działają 30 razy skuteczniej, niż naboje z roku 1870.

Przez zaprowadzenie prochu bezdymnego i stali niklowanej z jednej strony, a przez wzmocnienie rury armatniej zapomocą pierścieni i drutów z drugiej strony, morderczą działalność posunięto do niemożliwych granic. W roku 1870 eksplodujący granat, rozpadał się na 30 kawałków - dzisiejszy na 240, stare szrapnele rozpadały się na 37, dzisiejsze na 340 części, przyczem sięgają odległości 3000 metrów a eksplodując rozpryskują się na szerokość 200 metrów.

Niemiecki jenerał Rohne obliczył, że że armia 10000 chcąca zdobyć twierdzę zanim zbliży się na odległość 2000 metrów, da możność nieprzyjacielowi oddania co najmniej 1450 strzałów armatnich, które wyrzucą 275000 kul, z których co najmniej 10300 trafi do celu, czyli innemi słowy teoretycznie armia ta, zostałaby zniszczoną kompletnie, zanim zbliżyłaby się na odległość 2000 metrów od twierdzy.

Nie należy zapominać, że wszystkie państwa rok rocznie powiększają liczbę armat i że żadne dotychczas nie zdołało uzyskać poważnej przewagi nad drugiem na polu uzbrojenia — zniszczenie więc w razie wojny przedstawia się strasznie.

D. c. n.

Oddział Nr. 6.

opowiadanie dla inteligentnej publiczności

Antoniego R. Czechowa.

(Ciąg dalszy.)

I dla Jana Dmitricza przyszły dnie i noce strasznie męczące. Wszyscy przechodzący około okien i wchodzący w bramę domu, wydali mu się szpiegami. W południe codziennie przejeżdżał powozem po ulicach miasta komisarz, który zwykle tak wracał z podmiejskiej swojej własności do biora policyjnego; ale Janowi Dmitriczowi zdawało się za każdym razem, że on jedzie zbyt prędko i z niezwykłym zainteresowaniem; „pewnie w mieście pojawił się ważny przestępca". Jan Dmitricz drżał przy każdem uderzeniu dzwonka i stuknięciu w drzwi; lękał się każdego nowego człowieka, którego spotkał u gospodyni. Na widok policyantów i żandarmów uśmiechał się wymuszenie i pogwizdywał, na dowód, że nic sobie z nich nie robi. Całe noce nie sypiał, czekając aresztowania, ale udawał chrapanie i oddychał głośno jak śpiący, ażeby gospodyni myślała, że śpi; bo jeżeli cierpi bezsenność, to dowód niejaki, że go sumienie dręczy — jaka racya! Zdrowa logika i rozum uciekły od niego. Nie mógł pojąć, że te wszystkie strachy, to dziwactwo lub zaczarowanie, że nawet w areszcie i więzieniu, jeżeli rzecz zbadają dokładnie, w rzeczywistości nic dlań strasznego i rezultat wypadłby dobry, ale czem rozumniej i logiczniej analizował, tem silniejsza i więcej męcząca trapiła go wewnętrzna trwoga. To uczucie jego można było porównać do legendy, w której jakiś pustelnik chciał sobie wyrąbać plac obszerny w lesie dzikim, ale czem więcej rąbał, tem w większy gąszcz się las rozrastał i w coraz większy labirynt wkraczał. Jan Dmitricz w końcu przekonał się, że tłomaczenie bezskuteczne, więc w zupełności poddał się uczuciu strachu i przerażenia.

Zaczął unikać ludzi. Zajęcie jakie piastował było mu od początku nienawistne, rzucił je teraz zupełnie. Przedewszystkiem bał się, aby go nie oszukali np.: włożą mu do kieszeni podstępnie cokolwiek, a potem posądzenie na niego cisną; albo zrobi jaki błąd w urzędowem piśmie, albo zgubi pieniądze cudze. Okropność! Jego myśl nigdy nie była tak zgięta i podatna do wymysłów najrozmaitszych powodów utraty czci i swobody. Natomiast zaczął go coraz mniej interesować świat, książki i pamięć zaczęła słabnąć.

Wiosną, kiedy śniegi stajały, w parowie około cmentarza, znaleziono dwa na pół zepsute trupy — staruszki i chłopczyka z oznakami zbrodniczej śmierci. W mieście naturalnie, mówiono dużo o zamordowanych i niewiadomych zbrodniarzach. Jan Dmitricz, ażeby nie posądzono go o zbrodnię chodził po ulicach ciągle się uśmiechając, a spotkawszy znajomych bladł, czerwienił się i zapewniał gorączkowo, że nie ma podlejszego przestępstwa, jak zabijanie słabych i bezbronnych. No, ale tak trwać długo nie mogło, tak był tem zmęczony, że po pewnym namyśle doszedł do wniosku, że w tych warunkach najlepiej schować się do piwnicy. Tam przesiedział dzień, później noc i drugi dzień, bardzo zziąbł, a doczekawszy zmroku, jak złodziej prześliznął się do swego pokoju. Do brzasku stał na środku bez ruchu, przysłuchując się tylko. Rano, o wschodzie słońca przyszli do gospodyni zduni, Jan Dmitricz wiedział dobrze, że przyszli piec przestawić w kuchni, ale strach podszepnął mu, że to są przebrani policyanci. Wyszedł cichutko z pokoju, a ogarnięty przeraźliwym strachem, bez czapki, bez płaszcza wybiegł na ulicę. Za nim z wyciem i szczekaniem pies jakiś pobiegł, jakiś wyrostek krzyknął, a jemu w uszach świstał tylko wicher i zdawało się, że cała ludzkość świata skupiła się za jego plecami goniąc go zawzięcie.

Zatrzymali go wreszcie, odprowadzili do domu i posłali gospodynią po doktora. Doktór Andrzej Efimycz, o którym pomówię niżej, przepisał zimne okłady na głowę, laurowe krople, smutnie pokiwał głową i odszedł, powiedziawszy gospodyni, że więcej nie przyjdzie. Nie było za co leczyć w domu, więc odesłali go do szpitala i umieścili w oddziele dla wenerycznych. A ponieważ nie sypiał po nocach, kaprysił i niepokoił chorych, więc na rozkaz Andrzeja Efimycza przenieśli go do oddziału Nr. 6.

Po roku w mieście zapomnieli o Janie Dmitriczu, tylko książki złożone przez gospodynią w starych saniach, pod dachem wozowni, długi czas przewracały się, dopóki dzieci nie poszarpały ich na strzępy.

IV.

Sąsiadem Jana Dmitrycza z lewej strony, jest, jak już mówiłem — żyd Mosiek, sąsiadem z prawej — tłusty, prawie okrągły chłop o tępej, bezmyślnej twarzy. To nieruchome, obżarte i brudne stworzenie dawno już straciło poczucie myśli i wrażeń. Czuć od niego jakiś ostry i duszny odór.

Nikita, chodzący za nim, bije go z całej siły, nie szczędząc kułaków. W tem wszystkiem nie to jest straszne, że go biją — bo do tego można przywyknąć — ale to, że to stępiałe stworzenie nie odpowiada na bicie ni głosem, ni ruchem, ni spojrzeniem, a tylko stęka, potacza się, jak ciężka beczka.

Piąty i ostatni mieszkaniec oddziału Nr. 6. jest to mieszczanin, będący niegdyś listonoszem. Chudy blondyn, o dobrym choć cokolwiek chytrym wyrazie twarzy. Sądząc po jego spokojnych oczach, patrzących radośnie, na świat ma się wrażenie, że posiada jakąś niezmiernie miłą tajemnicę. Pod poduszką lub materacem jest ona właśnie schowana, ale nie z obawy, żeby mu ją nie skradli, o nie, tylko z przyczyny wielkiej wstydliwości. Najczęściej podchodzi do okna, odwraca się od towarzyszów i przypiąwszy sobie to właśnie na piersiach patrzy, przechyliwszy głowę; jeżeli ktoś wtedy podejdzie do niego, to natychmiast zawstydzony zrywa i chowa. Tajemnicę jego nie trudno odgadnąć.

— Uszanuj mnie — mówi nieraz do Jana Dmitricza, — jestem przedstawiony do orderu św. Stanisława, drugiej klasy z gwiazdą. Drugą klasę dają tylko cudzoziemcom; no, ale dla mnie robią wyjątek — uśmiechając się i ruszając ramionami z zadowolenia, mówi — a muszę się przyznać, że nie spodziewałem się nawet...

— Ja nic tego nie rozumiem — posępnie odpowiada Jan Dmitricz.

— Nie rozumiesz, że ja czy wcześniej, czy później go dostanę? — ciągnie dalej były listonosz, chytrze mrużąc oczy. — Bezwątpienia też dostanę „północną gwiazdę". Taki order, że warto postarać się trochę. Biały krzyż na czarnej wstążce. To prześliczne.

Chyba nigdzie nie płynie tak jednostajnie życie, jak w tej oficynie. Rano chorzy, oprócz sparaliżowanego, myją się w sieni w dużym cebrze i obcierają fałdami płaszczów: później piją herbatę w cynowych kubkach, które z głównego oddziału przynosi Nikita. Każdy dostaje jeden kubek. W południe jedzą barszcz, kwaszoną kapustę i kaszę, wieczorem kaszę, która pozostała z obiadu. Przez resztę czasu leżą, śpią, patrzą przez okna, albo chodzą z kąta w kąt. I tak płynie cały dzień. Nawet były listonosz opowiada wciąż o jednych i tych samych orderach.

Nowych przybyszów rzadko widzą w oddziele pod Nr. 6. Nowych waryatów doktór dawno nie przyjmuje, a tych którzyby ich z przyjemnością trzymali w domu, także mało na świecie.

Raz na dwa miesiące zachodzi do oficyny cyrulik Semen Łazarycz. Jak strzyże obłąkanych i jak mu Nikita pomaga i jaką wtedy trwogę przechodzą obłąkani przy ukazaniu się uśmiechającego cyrulika — my nie będziemy mówić.

Oprócz niego nikt nie zagląda do oficyny. Chorzy widują tylko Nikitę.

W takich to okolicznościach zaczęto dziwne opowiadać rzeczy. Oto puszczono pogłoskę, jakoby oddział Nr. 6 zaczął odwiedzać doktór.

C. d. n.

Z wystawy obrazów w Sukiennicach.

Na stałej wystawie obrazów w Towarzystwie przyj. szt. p. mało obecnie wystawiono rzeczy wartościowych, a jeszcze mniej widać w tych utworach prawdziwych artystów. Przebrzmiały idealne hasła towarzyszów „sztuki“, a niektórzy z jej członków z przedziwnym smakiem i zamiłowaniem uprawiają kiczarstwo, (czytaj po polsku „sztukę dla pieniędzy“). Młodzież zdolna nawet, zaczyna ich z powodzeniem naśladować w malowaniu ozdobnych obrazów, w jeszcze ozdobniejszych ramach do salonów bankierskich. Zresztą młodych na wystawie mało, ale z tego, co jest, widać, że się w tych młodych duszach jaśniejszy pali ogień, że się tam wśród nich inne gotuje życie, że jest więcej miłości i więcej poświęcenia dla samej sztuki.

Bukowskiego studyum dziewczyny jest o wiele lepsze od studyów z tej samej modelki, malowanych przez jego profesorów i we wszystkich jego pracach czuć szukanie własnej drogi i chęć zerwania z tem złem, co się od każdej akademii do człowieka przylepi.

Są dwa nowe obrazy Jacka Malczewskiego: „Podszepty“ powtórzenie dawniejszej kompozycyi, tylko w innym nieco układzie i „Zmartwychwstanie“. Ten ostatni zwłaszcza, choć wzbudza wzruszanie ramionami i kiwanie głową u naszych pseudoznawców i krytyków przygodnych, jest bajecznem tłomaczeniem ciągłego postępu i nieustannego odradzania się ludzkości. Kapitalnie rysowany, jako kompozycya malarska nie zawiły w szczegółach, daje przecież takie bogactwo poetycznej treści, że ta zdaje się wyrywać z ram obrazu i gwałtem ciśnie się do mózgów nawet tych ociężałych postaci w ustawicznem kiwaniu sterczących przed obrazem i szukających objaśnień. Dał im Pan Malczewski klucz w formie wiersza Asnyka, ale tem obniżył dla tych, co w tym wierszu objaśnienia szukają, wartość swojego obrazu. Bo jeżeli nawet wiersz Asnyka posłużył Malczewskiemu jako wątek do kompozycyi, to przecież w obrazie swoim pojął on myśl samą szerzej i głębiej od poety.

To nie zwyczajne odrodzenie starczych twórczych sił przez przyjście na świat młodych pokoleń, ale to ten gorączkowy postęp ludzkości, w jakim ona się dzisiaj znajduje, to zrywanie ze starymi wzorami, to wyczuwanie życia przyrody w najsubtelniejszych przejawach.

Starzec nadsłuchujący brzęczenia skrzydeł motyli, i odczuwający ledziuchne trzepotanie się konika polnego w grubej stężałej ręce, to ten człowiek wczorajszy, jeszcze gruby i dziki, który uczuł jakieś nowe drgania w przestrzeni powietrznej, zajrzał w życie, które dotąd nie przedstawiało interesu dla jego ducha, wyczuł nowe źródła rozkoszy, piękna, poezyi i sztuki w tych niedostrzegalnych promieniach, na które jeszcze wczoraj był ślepym, usłyszał w brzęczeniu motyli tę cudownie subtelną muzykę przyrody, na którą ucho jego wczoraj było nieczułe.

Tak sobie wytłomaczyłem ten obraz pod pierwszem wrażeniem, ale tłomaczeń podobnych i innych może być przed tym obrazem dziesiątki. Obraz ten, wspaniale skomponowany, jest tylko początkiem, dalszy ciąg swój mieć chce w myśli ludzkiej, jest jakby rzuceniem zarzewia w serca i umysły, które poetyczną myśl artysty pielęgnować mają i rozwijać coraz szerzej i szerzej. To jedna z największych sztuk umieć w odpowiedniem miejscu zakończyć kompozycyę i tę właśnie sztukę znakomicie posiadł Malczewski. Ten artysta tak się dziwnie wyrywa ze swojego otoczenia, tak mu tam ciasno i duszno wśród tych polowań na łosie i szablonowych portretów pastelami i nie pastelami.

Szkoda, że uczniowie szkoły sztuk pięknych tracą takiego profesora, bo najważniejszym tych obowiązkiem jest zapalić w uczniu namiętność do sztuki i tylko tem skłaniać go do sumiennych studyów. Ten dar posiada w wysokim stopniu pan Malczewski i dzisiaj z prawdziwym żalem żegnają go uczniowie.

Drugi z tych nowych a górnych i śmiałych duchów twórczych, to Wyspiański — Jak tamten, również nie zrozumiany przez krakowską publiczność, mimo to dążący wytrwale po raz obranej drodze. Na wystawie jest jego witraż Kazimierz Wielki, przedstawiony jako upiór z berłem w kościstej dłoni i z koroną na charakterystycznej czaszce. Wspaniała trawestacya znikomości sławy i potęgi królewskiej wobec śmierci, a chociaż kompozycya ta nie tylko się nie sprzeciwia wierzeniom religijnym, ale znakomicie tłomaczy słowa pisma świętego „z prochu-ś powstał i w proch się obrócisz“; prawdopodobnie nie ujrzy go oko ludzkie w żadnym z krakowskich kościołów. Bodaj bym był fałszywym prorokiem. Prócz tego jest kilkanaście pasteli, główki i pejzaże. Jak w jednych, tak i w drugich moc charakteru i prawdy i polskości a wszystko przepysznie rysowane. Wnętrza chat, mimo, że tylko szkicowo znaczone kolorem, są tak realnie tak łudząco prawdziwe, że widz odczuwa przepojoną wilgocią atmosferę chłopskiej izby.

Do dziś dnia wisi na wystawie bogata Łąka Chełmońskiego z wiszącym nad nią jastrzębiem. Nie jest to jeden z najlepszych obrazów znakomitego pejzażysty, ale i tu jak w innych jest to wielkie ukochanie przyrody w najsubtelniejszych jej przejawach, znajomość gruntowna przedmiotu, a we wszystkiem głęboki nastrój i rozmach duchowy i ta prawdziwie słowiańska rozrzutność artysty. I nie tylko, że podobieństwo szczegółów pociąga swoim realizmem, ale obraz wchłania w siebie widza i ciągnie go w głąb tej łąki i nasłuchiwać się każe tej muzyce słonecznego dnia, drgającego promiennymi blaskami na końcach kłosów kołyszących się po nad tą falą kwiatów polnych i tysiącem ptasich świergotów w powietrzu i szumem lasów i cichym szmerem ciepłego wiatru.

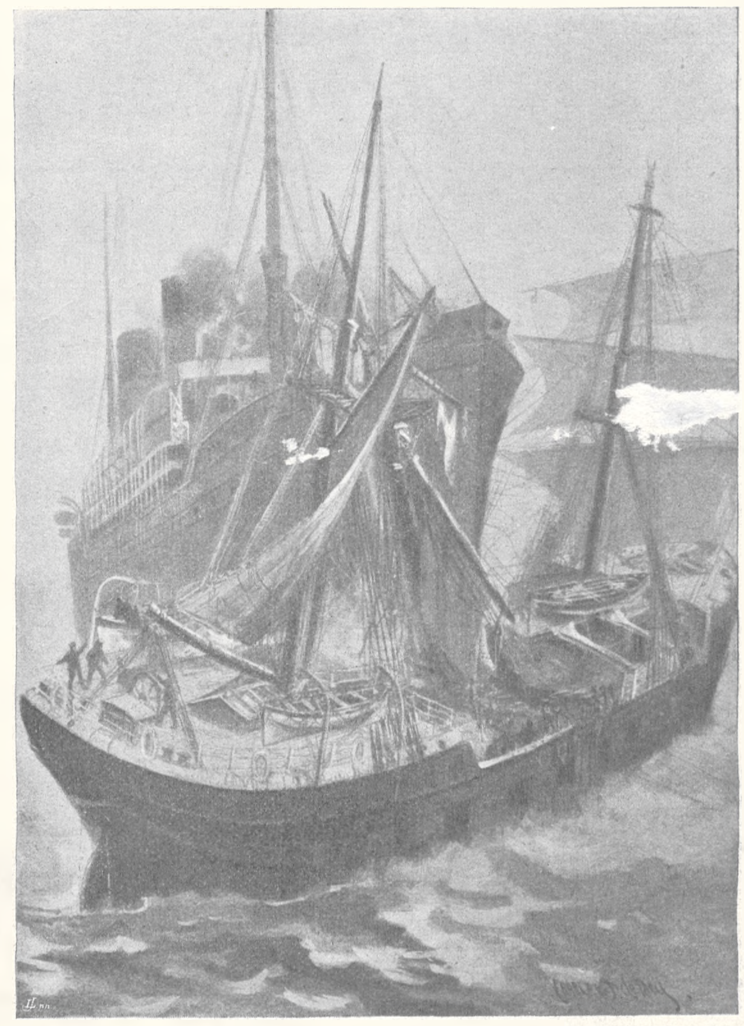
Tetmajer dał bardzo małe, ale dobre szkice figur w słońcu; chłop, stojący na tle zbóż, ma w sobie dużo prawdziwego znużenia i zmęczenia upałem. Boznańskiej kilka niezłych obrazków; dziewczynka w niebieskiej sukience i Bretonka, (rysunek węglem) bardzo dobre. Jest jeszcze bardzo prawdziwy w oświetleniu pejzaż Janowskiego „Zmrok“ i szeroko i z wyrazem traktowane węglowe rysunki pana Tichy.

Rzeźb dobrych także mało. Madejskiego przepysznie wystudyowane i modelowane dwa biusty Matejki, z których jeden, ten z głową pochyloną na piersi, ma bardzo dużo głębokiego wyrazu i podobieństwa psychicznego do nieboszczyka. Mazura dobra rzeźba „Przestrach“ a jeszcze lepsza „Żołnierz na czatach“, koń bardzo dobry w ruchu i w wyrazie.

Po za tem jest tam jakaś bogata w bajkę i w płótno i w farby, ale uboga w malarstwo i w talent allegorya życia przez niemieckiego malarza Schrama, kika pejzażów Pociechy z zawsze niezbędnym i zawsze pociesznym dziadem na kulach, przewieszającym wciąż tylko sakwy z lewego ramienia na prawe, a z prawego na plecy, że mu już chyba niezadługo zabraknie miejsca na zmianę, i może, znudzony tem przewieszaniem, usunie się z wystawy; jest pana Szwojnickiego droga symfonia na patryotycznych kieszeniach zwiedzającej wystawę publiczności, legendy z obrazkami do pokazywania przez powiększające szkła w okienkach katarynki wygrywającej krakowiaki, są tragedye, skandale, tabaczka pana Saskiego, przykład zepsucia obyczajów i materyał do artystycznego zgorszenia, ale jakże mało uczucia, jak mało szczerości i prawdy, jaki brak miłości dla tych rzeczy, które się tworzy. jak mało artyzmu, jak mało istotnej sztuki. Nic dziwnego, że się w takiem otoczeniu pokurczyli nawet profesorowie szkoły sztuk pięknych, ale podobnoć to od nich wypadałoby chyba najwięcej wymagać prawdziwie natchnionych utworów, bo obrazów swoich nie potrzebują wysyłać na wystawę z zamiarem sprzedaży.

I czegóż żądać od tej publiczności, która swą duszę na tych wzorach kształci, czemuż jej wiecznie imponujemy rozmiarami nie ducha, ale płócien i zamiast uczuć, dajemy tylko ich widmo i blagę. Nie miejmy do nich pretensyi, kiedy wzruszają ramionami przed Malczewskim i uśmiechają się z politowaniem przed pastelami Wyspiańskiego, bo to są dla tej publiczności ludzie nowi, a ona przywykła do tej codziennej sztuki, jaką ich od lat karmili i karmią ich właśni artyści. A dla tego ta sztuka, sztuką nie jest, że w niej serdeczną miłość piękna zabiła cześć dla złotego cielca i pożądliwość zysków materyalnych.

Troj.



Spotkanie się okrętów na morzu Północnem.



Regularne wojsko chińskie.

Odbudowanie Galvestonu.

Z ryciny zamieszczonej na 5 stronie dzisiejszego numeru mogą powziąć czytelnicy niejakie wyobrażenie o strasznej klęsce, która nawiedziła nieszczęsne miasto. Mogłoby się zdawać, że w obec tak strasznych spustoszeń, poczynionych przez rozhukane żywioły, ludzie opuszczą bezradnie ręce i dadzą za wygraną. Ale energia i wytrwałość amerykańska nie daje się tak łatwo zbić z raz obranej drogi; tak jak Chicago po słynnym pożarze z 1871 r. powstało z gruzów w stokroć piękniejszej jak przedtem postaci, tak też i Galveston wraz ze swym przepysznym portem odrodzi się do nowego życia w niedługim już czasie. Z razu podnosiły się głosy, przestrzegające przed odbudową miasta na tem samem miejscu; teraz nikt już nie myśli o opuszczeniu wybrzeża, spustoszonego przez burzliwe fale. Po dniach bezgranicznej rozpaczy i zniechęcenia przyszły jaśniejsze chwile otuchy i wiary w lepszą przyszłość, a ruchliwi Yankesi nie dadzą światu czekać zbyt długo na owoce swej pracy. „Po upływie dni trzydziestu nikt nie pozna Galvestonu“ miał rzec prezydent miasta. „Sprowadzamy właśnie tysiąc murarzy, takąsamą liczbę cieśli i tylu innych robotników, ilu ich będzie potrzeba. Każdy z nas żywi przekonanie iż obecne gruzy zamienią się rychło w miasto, kwitnące jak przedtem handlem i przemysłem.“

Galveston jest punktem handlowym, a jako taki zawdzięcza swoje znaczenie głównie naturalnemu położeniu. Posiadając najlepszy port na południowym zachodzie, musi rozwijać się coraz bardziej w miarę podnoszenia się materyalnego południowo-zachodnich okolic. To też przy budowaniu sieci kolejowej w Texas i pogranicznych Stanach, uważano je zawsze za punkt wyjścia. Wielkie linie transportowe na lądzie stykają się w Galvestonie z morskimi, a towarzystwa kolejowe jak Southern Pacific, Atchinson, Topeka, Santa Fe i Missouri-Canzas, są właścicielami rozległych gruntów w mieście. Protest przeciw zostawieniu na wolę losów zniszczonego przez orkan miasta, musiał zapewne wyjść przedewszystkiem z ich strony. Poparła ich w tem najbardziej wpływowa w mieście sfera właścicieli domów, których grunta musiałyby w razie odbudowania Galvestonu na innem miejscu stracić wszelką wartość. Dzięki tym sferom, Galweston nie zniknie z mapy Ameryki, a olbrzymie bulwary zabezpieczą go raz na zawsze od rozhukanych fal oceanu.

Zanim jednak zaczną się roboty koło odbudowania miasta, masy robotników muszą pracować nad usunięciem rumowiska i gruzów, które gdzieniegdzie jeszcze płoną, wydając chmury dymu. Nad całem miastem unosi się dusząca atmosfera chlorku wapna; mimo to, lista chorych, którzy znajdują się po prowizorycznie urządzonych szpitalach, nie przenosi 500 osób. Stosunkowo do ogromu katastrofy i spowodowanych nią stosunków zdrowotnych, ilość ta nie jest wcale wielką.

Ciekawym przyczynkiem do historyi „dni trwogi“ w Galvestonie są różne „General Ordres“ wydawane przez „naczelnika brygady obywatelskiej“, generała Tomasza Scurry. Jeden z nich „General-ordre Nr. 9.“ zawiera między innymi następujący ustęp: „Wszyscy strażnicy

tego departamentu otrzymali rozkaz łagodnego obchodzenia się z obywatelami, którzy tylko w razie ostatecznej konieczności będą zmuszani do współdziałania w oczyszczaniu miasta. Zważywszy jednak, że stosunki, które nastały w skutek strasznej katastrofy wymagają wielkich i szczegółowych zarządzeń sanitarnych, przeto, w razie niezgłoszenia się dostatecznej liczby robotników, będą władze zmuszały każdego fizycznie zdatnego mężczyznę do współdziałania zarówno przy uprzątaniu gruzów, jakoteż przy transporcie chorych i rannych".

Dzięki energicznym zarządzeniom generała Scurryego Galveston został oczyszczonym w krótkim stosunkowo czasie z rabusiów, którzy jak stado hyen zjawili się na miejscu katastrofy celem plądrowania trupów. Sądy doraźne ustanowione przez Scurryego załatwiały się nader szybko z tymi wyrzutkami społeczeństwa. Po schwytaniu złoczyńcy stawiano go przed Trybunałem złożonym z członków milicyi obywatelskiej, konfrontowano ze świadkami a po daniu mu czasu do obrony zapadał wyrok. Zwykle w kilka minut po skończeniu rozprawy, urywany trzask pięciu strzałów karabinowych oznajmiał mieszkańcom, że zostali uwolnieni od przestępcy. Około 150-ciu rabusiów, przeważnie Włochów i Negrów, przypłaciło w ten sposób życiem swą chciwość i nieludzkie okrucieństwo.

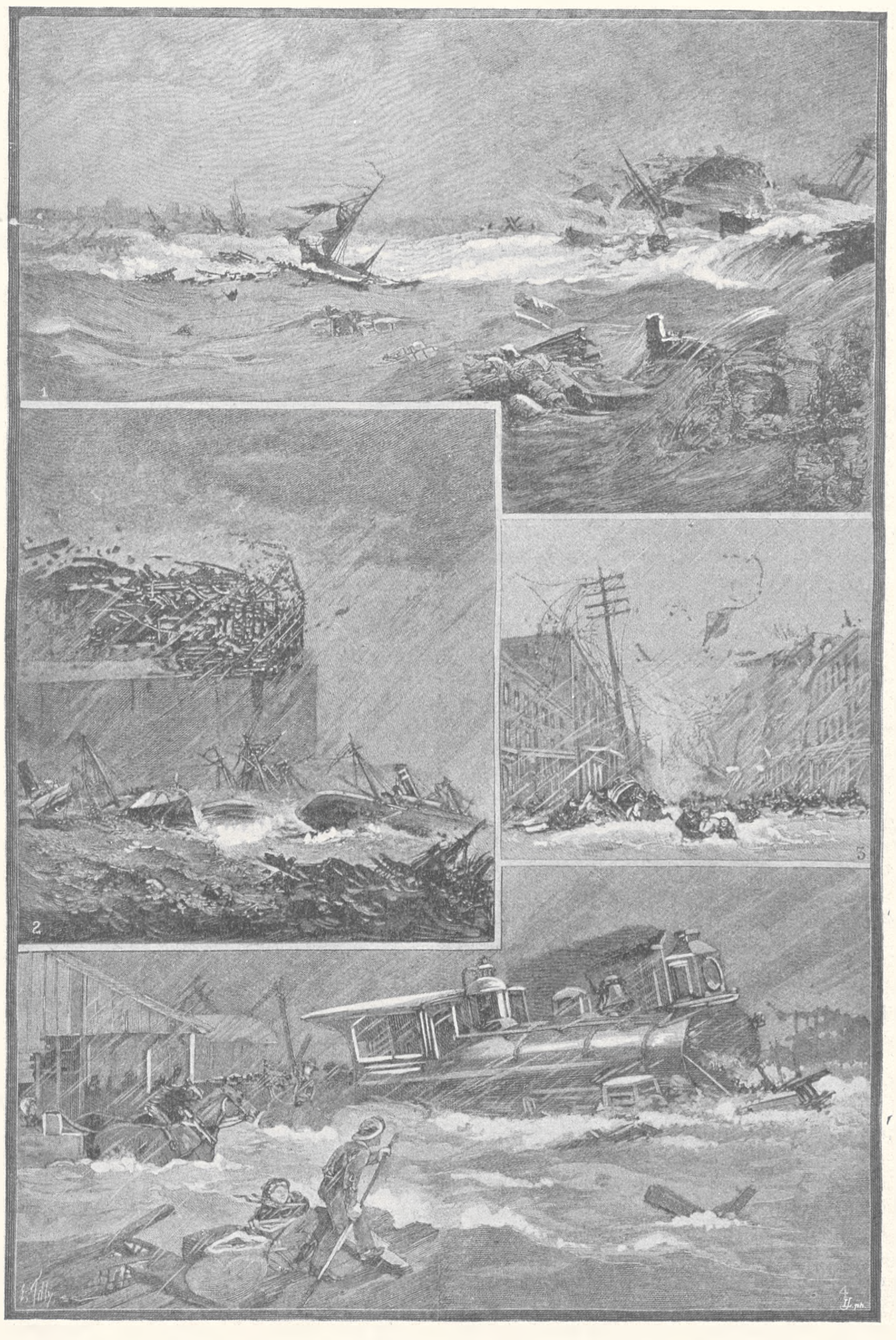
Ze wspomnień o Bedrzychu Smetanie.

Genialny twórca „Sprzedanej narzeczonej“ podbił sobie niemal świat cały. Chwila, w której ściany wystawowego teatru w Wiedniu odbiły pierwszy ton wspaniałej uwertury do „Prodanej nevesty“ była rozstrzygającą dla rozgłosu imienia czeskiego po całym świecie muzycznym, a nieznany, lub przynajmniej nieuznawany dotąd Smetana, wyrósł na na człowieka europejskiej sławy. I my poznaliśmy również to arcydzieło muzyki narodowej; Warszawa, Lwów i Kraków napawały się po kolei przeczystym zdrojem szlachetnej melodyi, który tryska obficie z kartek tej opery, lecz życie i ogół twórczości genialnego Czecha pozostały dla nas równie jak wprzódy „terra ignota“, a z ludzi nie oddających się fachowo muzyce, mało kto zna dzieje męczeńskiego żywota, jaki był udziałem Smetany. Może te słów parę, wyjętych ze wspomnień Adolfa Čecha, kapelmistrza „Narodnego divadla“ w Pradze, będzie zachętą do bliższego obznajomienia się z curriculum vitae genialnego pobratymca.

„Okres istnienia teatru narodowego w Pradze, zamykający się między 1873 a 1874 rokiem, był — mówi Adolf Čech — niezwykle burzliwy i niespokojny. Dyrekcya Čižeka a z nią i mistrz Smetana, przejedli się już prasie oraz publice, więc zaaranżowano na nich formalną nagankę, nie szczędząc wcale człowieka, który czeskiemu narodowi dał już wtedy takie dzieła jak „Brandenburczycy w Czechach“, „Sprzedana narzeczona“ i „Dalibor“. Najważniejszym i najcięższym zarzutem było to, iż Smetana od 1868 roku, t. j. od napisania „Dalibora“ nie stworzył żadnej nowej opery. Nie wiedziano, iż „Libusza“ była jeszcze w 1871 zupełnie skończoną, gdyż autor pragnął otworzyć nią teatr narodowy.

Liczni przyjaciele i zwolennicy Smetany poczęli nań nalegać, aby zmusił nieprzyjazne głosy do zamilknięcia przez skomponowanie jakiego nowego dzieła w dziedzinie operowej. Smetana zrazu wzdragał się, przytaczając, iż podniecenie umysłu nie dozwala mu na spokojne wzięcie się do pracy. „Jakto, — mówił — więc po napisaniu 4 oper mam dopiero składać dowody swego uzdolnienia?“ Ale nalegania przyjaciół dopięły wkońcu zamierzonego celu, zwłaszcza po uczynionej przezemnie propozycyi, iż przez czas, gdy Smetana będzie pisał operę, ja wezmę na siebie wszystkie jego obowiązki i czynności jako dyrektora opery. I mistrz zamknął się w domu, a po niecałych 3 miesiącach — wyraźnie: po niecałych trzech miesiącach, przepyszna opera „Dwie wdowy“ była już gotową i zinstrumentowaną. W 14 zaś dni później 27 marca 1874 ujrzała światło kinkietów.

Sukces był olbrzymi, ale tak wytężona praca musiała spowodować zmęczenie i rozstrój nerwowy, to też mistrz z niecierpliwością oczekiwał wakacyj. Bezpośrednio przed ich rozpoczęciem odbył się popis szkoły operowej, założonej przez niego na wzór takiego samego zakładu, który stworzył w Gothenburgu. Produkcye wypadły ku ogólnemu ukontentowaniu nauczycieli uczniów, rodziców i krytyki, tylko sam mistrz nie był wcale zadowolony. Po skończeniu produkcyi odezwał się do mnie: „Proszę pana, dlaczego dziewczęta śpiewają tak fałszywie i czemu tak strasznie krzyczą?“ — Odpowiedź moja brzmiała, iż nie zauważyłem ani jednego, ani drugiego.



Z katastrofy w porcie galvestońskim.

To było pierwszym objawem choroby uszu, której miał Smetana później uledz.

Po egzaminie udał się mistrz do swego *Tusculum* na wieś do Jabkenic, gdzie mieszkał u swojego zięcia, po niedługim jednak czasie otrzymałem od niego list, w którym mi donosi o swoim rychłym powrocie do Pragi, a to w celu przeprowadzenia kuracyi usznej. Przybywszy do Pragi opowiadał mi jak na wsi pod jego oknem grał ktoś cudownie na flecie po całych nocach; rzecz naturalna, iż prócz niego nikt tej muzyki nie słyszał, gdyż to była halucynacya. Słyszałem też od niego, jak w nocy miał grać na fortepianie, lecz klawiatura okazała się za krótką, skutkiem czego musiał brać do pomocy ścianę i t. d. Co jednak najgorsze, począł tracić słuch, a jednokreślna oktawa była jak gdyby wymazaną z narządów słuchowych mistrza, tak, że grając gamę na fortepianie nie słyszał całkiem oktawy jednokreślnej; w mózgu i w uchu jego powtarzała się tzw. mała oktawa, przeskakując potem odrazu w dwukreślną. Wobec tak groźnych symptomatów rozpoczął się natychmiast leczyć u profesora chorób usznych dra Zoufala.

Choroba uczyniła Smetanę mrukliwym i nieprzystępnym, to też unikał naszego towarzystwa, nie chodząc nawet do kawiarń, chociaż czytanie gazet było ulubionem jego zajęciem. Nie widziałem go też wcale przez kilka tygodni, aż do początku października, w którym to czasie zaczął nieco przychodzić do zdrowia. Z wielką radością oznajmił nam jednego tygodnia, że słyszy już jednokreślną oktawę, a można też było mówić z nim bez uciekania się do krzyku. 13 czy też 18 października, daty nie mogę sobie dokładnie przypomnieć, był na przedstawieniu nowej podówczas opery „Le roi l'a dit“ („Król to powiedział“); po pierwszym akcie ujrzeliśmy mistrza za kulisami.

„No, dzięki Bogu! Słyszę, słyszę wszystko, każdy interwał. Jak pięknie brzmią głosy i orkiestra, co to za śliczna muzyka, jak świetnie trafiony w niej styl *rococo*! Ale na dzisiaj dosyć. Idę do domu, gdyż lękam się tak natężać słuch za pierwszym razem. Dwóch ostatnich aktów wysłucham kiedy indziej. Adieu!“

Nikt nie sprzeciwił mu się słowem, gdyż wszyscy byli przejęci radością na myśl, że najdroższy skarb mistrza został uratowany od zagłady.

Po wieczerzy usiadł Smetana do fortepianu i grał swoje kompozycye, oraz utwory Liszta i Chopina, którzy byli jego ulubieńcami; grał bardzo długo i nawet łagodne ostrzeżenia i napomnienia żony nie były w stanie oderwać go od klawiatury.

— „Nie mogę tego pojąć — mówił — co mnie dziś tak przykuwa do fortepianu, że nie mogę się od niego oderwać? Jeszcze nigdy tony jego nie wydawały mi się tak piękne, jak dzisiaj.“

Wreszcie dał się namówić do zaprzestania i zamknął fortepian udając się na spoczynek. Następnego ranka obudził się — głuchym na zawsze.

Ten straszny dla każdego, a cóż dopiero dla muzyka los, znosił genialny twórca z iście heroicznem męstwem. Przy jednych odwiedzinach, w marcu 1875 r. znalazłem go nawet w dobrym humorze. Zapowiedział mi, że po ukończeniu poematów symfonicznych „Wełtawa“ i „Wyszehrad“ ma już zaczętą nową operę pt. „Hubička“ („Pocałunek“).

— „Mam nadzieję, że będzie ona siostrą „Sprzedanej narzeczonej“ — rzekł do mnie — bo chociaż styl jest nieco inny, stosownie do treści libretta, ale zawsze to będzie mój styl, „Smetanowski sloh“ — dodał z uśmiechem.

— Zacząłem ją komponować od miejsca które mnie najbardziej interesowało, od chóru przemytników na początku drugiego aktu.

Wyrażenie „zacząłem komponować“ jest wszakże nie całkiem trafnie dobranem, gdyż jak to z własnych ust mistrza wielekroć słyszałem, Smetana siadał do biurka dopiero po skomponowaniu całej opery w głowie. Dowodem są partytury jego dzieł, spisywane według szkiców ołówkowych odrazu na czysto, bez wyciągu fortepianowego, który układał zawsze dopiero po wykonaniu opery, jakby dla odpoczynku po pracy twórczej. To też w partyturach mistrza nie ma ani śladu skrobania lub poprawek; wyglądają jak litografowane. To też, wracając do „Pocałunku“, nie rozpoczął Smetana komponować go od chóru przemytników, lecz w tem miejscu zaczął tę operę spisywać.

Smetana usiadł zatem do fortepianu, aby przegrać mi wspomnianą scenę, przyczem śpiewał partyę starego Mateusza, przemytnika, markując zarazem część chóralną. I to właśnie było wprost straszne, gdyż będąc zupełnie głuchym, nie śpiewał nigdy we właściwej tonacyi, tylko zawsze fałszywie, w samych dyssonansach.

Na fortepianie leżały całe stosy papieru, do zapisywania na nich pytań i odpowiedzi. (Należy dodać, iż Smetana był pod tym względem bardzo niecierpliwy. Częstokroć nie czekając na odpowiedź, stawiał natychmiast nowe pytanie.) Wziąwszy jeden taki kawałek napisałem mu, aby się nie trudził śpiewaniem, gdyż i tak czytam sobie głos solowy z partytury. Wprawiło go to we wzburzenie.

— „Śpiewam fałszywie, nieprawda? Odpowiedziałem potakująco.

— „Na miłość Boską! Więc już do tego doszło, że nie mogę nawet odróżnić tonacyi?“

Dużo czasu upłynęło, zanim zdołałem przekonać nieszczęśliwego mistrza, że to to tylko zewnętrzne ucho, które nie odbiera żadnych wrażeń z zewnątrz, nie może skontrolować czystości odnośnego interwału, wewnętrzne zaś słyszy całkiem dobrze; wszak inaczej nie mógłby przecie komponować, zwłaszcza na orkiestrę! Po długiem pisaniu i setce pytań ustawicznie zadawanych uspokoił się wreszcie i przegrał do końca chór przemytników, dodając jeszcze ponadto obie kołysanki Vendulki.

— „Pierwsza jest pieśnią narodową, drugą ja sam napisałem. Niech publiczność sama rozstrzygnie, która się jej lepiej spodoba“ — rzekł do mnie.

I publiczność zdecydowała się nader prędko, bo zaraz w czasie premiery, żądając powtórzenia drugiej kołysanki „Le-

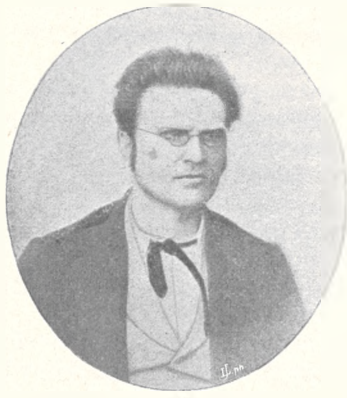


Zwycięstwo Tungfuhsianga nad »białymi djabłami«.
Według ilustracyi chińskiej rozrzuconej między bokserami w celach agitacyjnych.

tĕla bĕlounka holubicka“, którą tak świetnie śpiewała p. Sitt. Ale liczba „bisów“ nie ograniczyła się na tym jednym ustępie. Prawie na każdem przedstawieniu, a było ich w jednym roku 21!, musiano powtarzać toast „Připijme im na zdravi“, śpiew Palouckiego: „Jak jsem to řek už je to tak“ duet Lukaša z Tomešem i piosnkę Barče.

Podziękowałem mistrzowi za biesiadę jaką mnie uraczył i życzyłem mu, aby opera rychło została ukończoną, gdyż w ten sposób moglibyśmy się zabrać do pilnego jej studyowania.

— „W tym roku już do tego nie przyjdzie — rzekł Smetana; — muszę pracować bardzo powoli i z dużymi przerwami, gdyż inaczej zaczyna mi coś szumieć w głowie, jakbym miał tam wodospad. Lekarz także nie pozwala mi na pracowanie jednym ciągiem“.



Björnstjerne — Björnson za młodu.

Mistrz pozostawał jeszcze ciągle w kuracyi profesora dra Zoufala. Z ust tego znakomitego lekarza słyszałem, że raz udało mu się pobudzić do działania sparaliżowane nerwy słuchu Smetany, niestety, na krótki tylko czas. Dr Zoufal zaordynował mianowicie mistrzowi jak największy spokój i zatkał mu uszy wprost hermetycznie, tak, aby najlżejszy odgłos świata zewnętrznego nie mógł się doń przedostać. Rodzina Smetany musiała udać się na wieś, on zaś został się sam jeden ze starą wierną klucznicą, która z rozkazu lekarza musiała przywdziać filcowe pantofle. W tym absolutnym spokoju i ciszy pokładał profesor nadzieję uleczenia nieszczęśliwego mistrza. Jednego razu, podczas rannej wizyty znalazł on Smetanę w stanie bardzo podnieconym.

— „Panie profesorze, słyszę, z największą pewnością słyszę!“

— „Z czego pan to wnosisz?“ — napisał dr Zoufal na skrawku papieru.

— „Wczoraj wieczorem chłopaki grały obok nokturn Chopina Nr ten a ten, i mazurkę Nr ten a ten. Słyszałem jak najwyraźniej!“

Jednym z tych „chłopaków“ był doskonały wirtuoz-pianiasta, obecnie profesor praskiego konserwatoryum Józef Jiranek, drugim — jego brat Alojzy, obecnie, jeśli się nie mylę nauczyciel muzyki w Charkowie. Obaj chowali się u Smetany, a mistrz do czasu ogłuchnięcia uczył ich sam gry na fortepianie, zwłaszcza Józefa, który jest tak świetnym wykonawcą fortepianowych utworów mistrza.

Profesor Zoufal udał się natychmiast do przyległego pokoju i tam, upomniawszy obu braci, aby mówili prawdę, gdyż idzie o rzecz nader ważną, spytał się ich, czy poprzedniego dnia wieczorem rzeczywiście grali wymienione przez Smetanę kompozycye. Odpowiedź wypadła potwierdzająco.

Wobec tego dr. Zoufal podwoił ścisłość klauzury; zakazał Jirankom surowo gry na fortepianie, podwójne okna zostały szczelnie zamknięte, na podłogę pokładziono grube dywany, nawet sam mistrz musiał wdziać filcowe pantofle. Po dokładnem przeprowadzeniu tych zarządzeń obiecywał sobie profesor Zonfal zupełne wyleczenie Smetany. Zdaje się jednak, iż z woli okrutnego losu musiał nieszczęśliwy mistrz wychylić aż do dna kielich goryczy.

Nazajutrz szalała nad miastem straszliwa burza, której przypatrywał się Smetana stojąc w oknie. Wtem z okropnym łoskotem uderzył piorun w naprzeciwległą kamienicę, a cały dom w którym mieszkał Smetana zatrząsł się i zadygotał. Mistrz doznał wrażenia strasznego huku w uszach, a w ślad za tem pojawił się ów złowrogi „szum wodospadu“ aby już nigdy nie ustąpić; ostatnia nadzieja wyzdrowienia znikła bezpowrotnie.

Nieraz potem studyowałem z orkiestrą arcydzieła Smetany, podczas gdy on sam stał przy moim pulpicie tłumacząc mi sposób, w jaki według jego intencyi rzecz miała być wykonaną; wtedy wyjmował zawsze tampony z uszu myśląc że usłyszy choć słabe echo dźwięków orkiestralnych. Rzecz naturalna iż nie słyszał nic; jedynym dźwiękiem jaki doń dochodził, był odgłos trąb, przynajmniej tak twierdził nieszczęśliwy muzyk, ale i te potężne spiżowe tony robiły na nim wrażenie hałasu, powstającego przy rąbaniu drzewa. Jedynym marzeniem mistrza było usłyszeć jeszcze raz przed śmiercią orkiestrę; niestety nie doczekał się jego urzeczywistnienia“.

Balon hr. Zeppelin'a.

Berlin 15 października.

Z całego legionu ludzi, którzy pracują usilnie nad rozwiązaniem problematu żeglugi nadpowietrznej, dwóch wsławiło się ostatnio swoimi wynalazkami.

Jednym z nich jest pruski jenerał kawaleryi hr. Zeppelin, drugim inżynier Kress. Każdy z nich chciałby stać się Kolumbem powietrznego oceanu, lecz środki, które zamierzają stosować różnią się zasadniczo między sobą, gdyż przyrząd hr. Zeppelin'a jest balonem, podczas gdy Kress zamierza wzlecieć w górne sfery na specyalnie ad hoc skonstruowanym latawcu. Obaj aeronauci reprezentują zatem dwa sprzeczne kierunki; jeden sądzi, iż podbicie atmosfery przez człowieka dokona się jedynie przy pomocy aparatów lżejszych od powietrza, drugiemu służą za wzór ptaki, które acz cięższe od otaczającego je środowiska swobodnie szybują sobie po niebieskich przestworzach. Na razie zajmiemy się hr. Zeppelin'em, gdyż latawiec Kressa nie może się wznieść nad ziemię z tej prostej przyczyny, iż brak marnych kilkudziesięciu tysięcy marek uniemożliwia wynalazcy sprowadzenie go z tęczowych wyżyn fantazyi na ten ziemski padół. A tymczasem zanim złoty balast ściągnie owego latawca na ziemię, zanim inżynier zdoła go dosiąść, sztandar hr. Zeppelin'a może już powiać zwycięsko wśród chmur i obłoków. Smuci się więc p. Kress, widząc, że bez pieniędzy nawet pofruwać sobie nie można w dzisiejszych ciężkich czasach!

Ale wracając do hr. Zeppelin,a, jest on obecnie zatrudniony poprawianiem steru i śrub służących do kierowania jego olbrzymim podłużnym balonem. Pierwszy wzlot, odbyty przed 2 miesiącami wzbogacił dostojnego amatora podróży nadpowietrznych niemałym kapitałem doświadczeń, który zostanie też odpowiednio spożytkowany. Wobec tego należy mieć nadzieję, iż przynajmniej napełnianie gazem aparatu, składającego się z 17 odrębnych balonów skupionych obok siebie w całym szeregu przegródek — pójdzie lepiej niż pierwszym razem. Co do wzlotu, to wynik jego nie może być wprawdzie na razie przesadzanym, lecz trudno w istocie spodziewać się po nim jakichśiś nadzwyczajnych rezultatów.

Jeszcze przed 15 laty zbudowali kapitanowie francuscy Krebs i Renard balon „La France“, który w ciągu godziny przebywał 20 km. wracając zawsze na miejsce, gdzie rozpoczynał swą podróż. Czy hr. Zeppelin pobije ten rekord nadpowietrzny? Zdaje się że nie, gdyż znacznie silniejszy motor (32 koni, podczas gdy Krebs i Renard rozporządzali



Pomnik Björnstjione — Björnsona w Chrystianii.

maszyną o sile 8 koni) nie wynagrodzi tego, że śruby mające służyć do nadawania kierunku są niestosunkowo małe.

Sam balon, przewyższył na ogrom wszystkie inne dotąd zbudowane statki nadpowietrzne, gdyż ma 128 metrów długości, 12 w średnicy, a pojemność jego sięga 12.000 metrów sześciennych. Te olbrzymie rozmiary dozwalają hr. Zeppelin'owi zaopatrzyć się w materyały do wprawienia w ruch motoru na czas bardzo długi, a co zatem idzie, balon jego będzie mógł się unosić w powietrzu znacznie dłużej niż wszystkie poprzednie. Przy sprzyjających warunkach metereologicznych tj. jeżeli balon wzniesie się wśród zupełnej ciszy, która wytrzyma aż do ukończenia wzlotu — można się spodziewać niezwykłych rezultatów, mogących nawet olśnić i wprawić w zdumienie nieznawców aeronautyki. Jeżeli jednak Eolowi przyjdzie chętka wypuścić ze swej jaskini wiatr, pędzący z chyżością, dajmy na to 7 metrów na sekundę, to szybkość balonu ograniczy się do jednego lub dwóch metrów w sekundzie, o ile będzie szedł pod wiatr. W przeciwnym razie, tj. gdy hr. Zeppelin zrezygnuje z opozycyi i pójdzie zgodnie z Eolem, można przypuszczać, iż chyżość jego aparatu może dojść nawet do 16 metrów na sekundę.

Przyczyny, dla której balon o którym mowa nie może osiągnąć większej szybkości nad wyżej podaną należy szukać zarówno w stosunkowej słabości motoru, jako też w lichem funkcyonowaniu śrub. Maszyny obsługujące aparat hr. Zeppelina są motorami benzynowemi systemu Daimlera, a zbudowano je przed dwoma laty. Postęp dokonany od tego czasu w konstrukcyi maszyn, dozwala na osiągnięcie daleko większej siły przy tej samej wadze motoru, a niezwykła wielkość balonu zezwala nadto umniejszenie balastu, skutkiem czego maszyny mogłyby jeszcze zyskać na ciężarze, a temsamem i na sile. Jeżeli hr. Zeppelin zaopatrzy swój balon w motor o sile 50 koni, czego się w przyszłym roku należy spodziewać, to szybkość przyrządu znacznie może się zwiększyć. Tylko że w takim razie cztery śruby umieszczone z boku balonu musiałyby przybrać znacznie większe rozmiary. Inaczej wszelkie usiłowania będą daremne.

Dużo się mówi teraz o „kierowaniu balonami“, choć to wyrażenie jest grubo niedokładnem i nie określa należycie problematu. Każdy balon da się przy pomocy steru poprowadzić w dowolnym kierunku, ale tylko horyzontalnie; wznoszenie się do góry i opadanie jest połączone z rozmaitemi przeszkodami, których pokonywanie wywiera znowu swój wpływ na długość czasu jazdy. Najstarstarszym sposobem, używanym także przez hr. Zeppelina jest wyrzucanie balastu, gdy chce się podnieść do wyższych warstw atmosfery, a wypuszczanie gazu w razie chęci obniżenia lotu. Oba środki prowadzą niechybnie do zamierzonego celu, cóż stąd jednakże, skoro po paru takich zmianach zmianach położenia balon staje się dla braku gazu niezdatnym do dalszej podróży? Hr. Zeppelin pokonał tę trudność zapomocą odpowiedniego przyrządu, który dozwala mu przekładać punkt ciężkości balonu tak, iż przyjmuje on skośne położenie. Skutkiem tego balon może się wznosić lub opuszczać bez tracenia balastu i gazu.

Reasumując zatem to co wyżej było powiedzianem, można stwierdzić, że nadpowietrzny statek hr. Zeppelina jest znacznym krokiem naprzód w postępie aëronautyki. Zdolność do udźwignięcia dużego ciężaru, umiejętnie przeprowadzony podział pracy i zastosowanie najnowszych wynalazków w zakresie wentylów, powłoki i rusztowania balonu ustawia go pod tymi względami znacznie wyżej od dotychczasowych prób na tem polu czynionych. Nie brak mu atoli i różnych wad; największa z nich spoczywa w delikatnej konstrukcyi szkieletu, mieszczącego w sobie 17 osobnych balonów. Jest on sztywny i zbudowany we formie kraty, a to celem umniejszenia ciężaru. Te właściwości, bardzo korzystne przy bujaniu po atmosferycznych przestworzach, czynią go wszakże tak kruchym, że nie zdoła wytrzymać wstrząśnień nieodłącznych od lądowania na twardym terenie. To też nawet sam wynalazca jest zdania, że tylko opuszczanie się na powierzchnię wody zdoła zabezpieczyć balon od poważnych uszkodzeń.

Cały świat zwraca teraz oczy na halę balonową koło Manzell, gdzie się znajduje hr. Zeppelin ze swoim przyrządem. Naszem zdaniem wszelkie zbyt wygórowane nadzieje są tym razem nie na miejscu, gdyż powyżej omawiany balon nie rozstrzygnie odrazu kwestyi żeglugi nadpowietrznej, może tylko przyspieszyć rozwiązanie problematu która od przeszło stu lat rozpala umysły śmiałych wynalazców. Nie ulega wszakże wątpliwości, że rozwój nauk technicznych oraz idąca za nim możność skonstruowania lekkiego a wydatnego motoru, wkrótce już uczynią ludzi panami sfer, które jak dotąd są dostępne jedynie pierzastym mieszkańcom powietrza. *M.*

(Jak już doniosły dzienniki, wzlot balonu hr. Zeppelina odbył się we środę 17 o godzinie 6 popołudniu. Liczna zgromadzona publiczność, wśród której znajdował się i król Wirtemberski z małżonką, przypatrywała się ewolucyom balonu, które wypadły jak najlepiej. Hr. Zeppelin powtarzał swoją podróż nadpowietrzną przez kilka dni następnych, gdyż obfity zapas gazu nagromadzonego w balonie, może starczyć na kilka wzlotów. *Przyp. Red.)*

Marya Leszczynska i Bourboni.

W Revue scientifique, czasopiśmie wychodzącem w Paryżu, zamieścił p. R. Larger artykuł, w którym usiłuje wykazać, że Marya Leszczyńska stała się przyczyną zwyrodnienia Bourbonów. Wywody swoje opiera autor na wiarogodnych wiadomościach z owych czasów, oraz na obserwacyach medycznych, nad Maryą Leszczyńską dokonanych i przychodzi do następującego wyniku:

W młodości swojej była ona nierozwiniętą umysłowo, wrażliwą dziewczyną, maltretowaną przez swarliwą matkę, zgorzkniałą skutkiem nieszczęścia domowego i choroby serca, pognębioną przez drobiazgową, niedorzeczną bigoteryę — innemi słowy: świetny „osobnik“ dla newrozy. Istnieją faktyczne, pewne prawie dowody, że wzywano do niej zakonnicę, która miała sławę, iż leczy choroby nerwowe.

W małżeństwie była Marya kobietą znakomitych właściwości charakteru i niezwykłej dobroci, ale była też kapryśną, ograniczoną umysłowo, mało wykształconą i mogła bez powodu, często nawet jednocześnie, śmiać się i płakać. Opierała się wypełnianiu obowiązków żony, była bigotką, widziała wszędzie duchy, była też bardzo bojaźliwa i nie mogła w nocy zasnąć, jeżeli jedna z jej garderobianych nie siedziała przy niej i nie trzymała jej za rękę. Są to wszystko objawy choroby nerwowej; nadto miała ona gruźlicę, która bywa często skutkiem neuropatyi.



Książę Abruzzów.

P. Larger przytacza następnie również prawa dziedziczności. Matka Maryi Leszczyńskiej umarła obłąkana, ojciec jej, człowiek otyły, artretyk, był alkoholikiem. Dalsze dowody znajduje Larger w patologii ostatnich Bourbonów, potomków Maryi Leszczyńskiej. Z sześciorga jej dzieci każde odziedziczyło coś z choroby matki: niektóre umarły bardzo młodo; delfin na suchoty; wszystkie, podobnie jak matka, cierpiały na histeryę, kurcze i obawy w nocy. Z trzech synów delfin Ludwik XVI jest człowiekiem otyłym, „bigotem, ograniczonym, prostakiem“ i miernym małżonkiem. Ludwik XVIII otyły i artretyk, jak Stanisław Leszczyński, umiera nie zostawiając dzieci. Karol X odziedziczył „słaby umysł Leszczyńskich“. Syn jego, ks. Angouleme, jest „nawpół idyotą“, umiera bez potomstwa, podobnie jak hr. Chambord, ostatni przedstawiciel rasy, w którym p. Larger odnajduje znów typ Stanisława Leszczyńskiego.

Wszystkie te oznaki doprowadzają p. Larger'a do niezłomnego przekonania, że Marya Leszczyńska była neurasteniczką i że ona jest przyczyną zwyrodnienia Bourbonów. Rzeczą naszych historyków jest sprawę tę należycie wyświetlić i wykazać o ile fałszywemi są twierdzenia p. Larger'a.

Kronika literacko-artystyczna.

LITERATURA.

* Materyały do dziejów piśmiennictwa polskiego, wydane w bieżącym roku w Warszawie przez prof. Wierzbowskiego, zawierają pięćset z górą dokumentów treści najrozmaitszej. Poprzedził je autor wstępem objaśniającym i określającym zarazem cel i powstanie wydawnictwa. Prof. Wierzbowski gromadził materyały lat dwadzieścia kilka. Od roku 1876 zbierał je przy każdej sposobności w odpisach

w miarę tego jak znalazł w danem archiwum albo w rękopiśmiennym zbiorze dokument, odnoszący się do którego z pisarzów polskich, lub mający jakąś wartość dla piśmiennictwa polskiego. W ostatnich latach wyczerpał autor w tym kierunku księgi metryki koronnej, akty ziemskie i grodzkie, wreszcie pościągał i pojedyncze dokumenty, które znalazł w bibliotekach warszawskich i w zbiorach autografów osób prywatnych. Prof. Wierzbowski wydrukował same rzeczy nowe. Znajdujemy tu nieznane dotychczas drobne utwory albo wiersze: Strusia, Janickiego, Reszki, Niegoszewskiego, Klonowicza, Krzysztofa Warszewickiego, głównie zaś dokumenty, które odnoszą się do działalności pisarzów polskich i nieznane przyczynki do ich biografii. Pierwszorzędni nawet pisarze, jak: Bielski, Orzechowski, Rey, Górnicki Modrzewski, Skarga, są tutaj reprezentowani a odnoszące się do nich dane przedstawiają nam ich osobistości w odmiennem świetle. Biografie wielu drugorzędnych pisarzów zyskują równierz wiele nowych szczegółów. Gdyby którego badacza zainteresowała która drugorzędna postać, to w zbiorze prof. Wierzbowskiego znajdzie wskazówki i dane, w jakiem miejscu i w jakim kierunku przedsięwziąć powinien dalsze poszukiwania, ażeby w zupełności wyzyskać materyał. Charakter pisma wielu autorów polskich nie był dotychczas znany badaczom. Podobizny ich autografów, któremi autor wydawnictwo przyozdobił, zadowolą ciekawość uczonego, a zarazem mogą mu oddać rzetelną przysługę przy porównawczych studyach rękopiśmiennych. Wielu pisarzy polskich grało również i polityczną rolę, lub brało bezpośredni udział w ważnych wypadkach historycznych, i ta strona ich działalności przy układzie zbioru nie została przez autora pominiętą. Obok pisarzów polskich figurują w zbiorze i ich zagraniczni przyjaciele, z którymi prowadzili korespondencye.



Ibsen na przechadzce.

* Encyklopedyi staropolskiej Z. Glogera zeszyt V-ty opuścił prasę i zawiera jak poprzednie szereg artykułów, licznemi przyozdobionych rysunkami. Mało wydawnictw, któreby nas tak łudząco przenosiły w przeszłość, jak praca Glogera, raźno posuwająca się naprzód, gdyż zeszyt ten jest przedostatnim mającego się niezadługo ukazać na widok publiczny obszernego tomu pierwszego. Z liczby kilkudziesięciu artykułów, jakie zeszyt V-ty w sobie zawiera, nie mały interes budzą następujące: „Budownictwo i budowniczowie w Polsce", artykuł obejmujący okres czasu niemal od samego początku XIV stulecia, aż do końca VIII-go; artykuły: „buława, bursa", można nazwać przyczynkami historycznymi. Na uwagę również zasługuje wyborny artykuł „cechy", jak również szczegóły dotyczące staropolskiego tańca „cenarem" zwanego, wraz z nutami, przez A. Polińskiego z autentycznego źródła opracowanemi. Rzecz o „cerekwickim przywileju", prawie chełmińskiem, chorągwiach, chrzcielniach, ciach, cmentarzach w Polsce, jak również artykuł zatytułowany: „cudzoziemcy w dawnej Polsce" godne są odczytania, i jako wiadomości uzupełniające zrozumienia naszych dziejów, mają ważne znaczenie.

* *Słowiański przegląd* (Slovanský přehled), wychodzący w Pradze miesięcznik pod kierownictwem p. A. Černego poświęcił już nie mało stronic literaturze i sprawom naszym pióra zarówno pracowników polskich jak i czeskich. W roczniku I. znajdujemy przekłady z naszej poezyi: Mickiewiczowskie „Sonety krymskie", Kasprowicza i Tetmajera wiersze drobne celniejsze. Pierwsze prace polskich autorów tu zamieszczone są: Wład. Mickiewicza *„O rękopisie ksiąg pielgrzymstwa"* i prof. Baudouina de Courtenay *„Słowacy a korona św. Stefana"*. Z literaturą naszą lata 1898—90 zaznajomił Słowiańszczyznę P. Chmielowski, a najmłodszemu malarstwu polsk. poświęcił słów kilka S. Lewandowski. Fr. Kwapil, tłomacz wielu strof polskich zamieścił piękne wspomnienie *„U grobu Jul. Słowackiego"*. Różne dopisy i sprawozdania z życia polskiego nadchodziły z najważniejszych miast naszych.

Sprawę wzajemności czeskopolskiej i stosunku Czechów do nas i do Moskali poruszył Čechofil (znany profesor i slawista w Krakowie). Pragnął poruszyć prasę czeską do zajęcia się tą sprawą. Czekał na odpowiedź długo. Dziennikarze i politycy milczeli. Dopiero przedostatni zeszyt Przeglądu stow. rocznika II. przyniósł słowa niby odpowiedzi. Jest to sprawa p. Černego *„k otázce shody rusko, polské"*, gdzie kreśli stosunek Rosyi do nas jaki powinien być i jak go pojmują dobrze dla nas usposobieni Czesi. Zapatrywania swe opiera autor na zdaniach Čičerina, wielkiego humanisty w znaczeniu społecznem.

Słoweńka p. Kwederowa, zajmuje się emancypacyą niewiast na Słoweńsku, która nawiasem mówiąc, jest szeroko rozwiniętą i więcej ma zwolenników niż u nas. Sprawozdanie z dziejów naszego piśmiennictwa z r. 1899 podał Hoesick, prof. Zdziechowski zamieścił swoje uwagi *„po zjeździe słowiańskich dziennikarzy w Krakowie"*, życie i czynność *„Al. Świętochowskiego"* skreślił Aur. Viszar. Ciekawym dla naszej historyi i literatury jest artykuł Wagnera *„Börne a Polaci"*, gdzie autor pięknie rozwija stosunki tego polakofila współczesnego naszym wychodźcom po powstaniu, który miłował Polaków całem sercem i duszą. „Jego *„Listy z Paryża"* są wierną podobizną współczesnego usposobienia, z tą miłością względem Polaków a nienawiścią do Rosyi, są i będą zawsze cennym i zajmującym przyczynkiem do zaniklego dawno prądu — niemieckiego „polonofilstwa". Mąż ten godzien wspomnienia od nas, ale na nie jeszcze czeka.

W roczniku II. znajdujemy w przekładzie czeskim naszych najmłodszych poetów: Niemojewski, Przesmycki, Rydel, Tetmajer i Żuławski. Wszystkich prawie podobizny widnieją na czele wzmianek życiorysowych i przekładów.

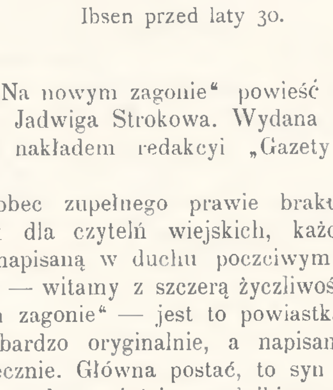
W roku ubiegłym zyskała redakcya zapomogę Akademii praskiej na wydawnictwo i z miesiącem bieżącym rozpoczęła III-ci rocznik, którego zeszyt I-szy prócz mniejszych spraw i dopisów przynosi życiorys krótki *Nadsona*, rosyj. poety z przekładem kilku jego wierszy, krótki rys *„literackiej produkcyi w Czarnogórze w XIX. w."* wspomnienie jubileuszowe o biskupie *Slomšku*, wielkim Słoweńcu (1800—1862) i słów parę *„o najmłodszem malarstwie polskiem"* w akademii piotrogrodzkiej. A. Černy rozpoczyna tu literackie studyum *„Sto lat łużyckiej poezyi"*, z którem dokładniej się zapoznać musimy, gdyż łużyccy Serbowie są nam po Kaszubach najbliżsi. Wyczekujemy, rychło ta rzecz zajmująca ukaże się w zupełności.

Areigam.

* „W niewoli" zbiór wierszy, poświęconych polskiej młodzieży rękodzielniczej — napisała Jadwiga S. nakładem księdza Bandurskiego.

Jest to książeczka w skromnej szacie, ale dość bogata co do treści. Nadaje się bardzo do bibliotek dla młodzieży — ludu i czytelń wiejskich lub miejskich. Są wiersze religijne — patryotyczne, liryczne, a niektóre odpowiednie do deklamacyi na wieczorki patryotyczne. Tendencya moralno-religijna, głęboka miłość Ojczyzny — nieraz tkliwa struna uczuć podniosłych, oto, czego się w dzisiejszych czasach nie spotyka tak łatwo.

Cena książeczki 25 centów — dochód przeznaczony na dom „Gwiazdy" w Krakowie.



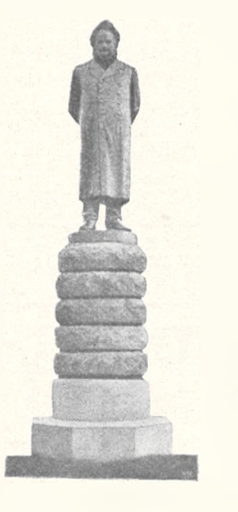
Ibsen przed laty 30.

* „Na nowym zagonie" powieść dla ludu napisał Jadwiga Strokowa. Wydana w Warszawie nakładem redakcyi „Gazety Świątecznej".

Wobec zupełnego prawie braku u nas książek dla czytelń wiejskich, każdą nową rzecz napisaną w duchu poczciwym — religijnym — witamy z szczerą życzliwością. „Na nowym zagonie" — jest to powiastka obmyślana bardzo oryginalnie, a napisana ciepło i serdecznie. Główna postać, to syn chłopski, który został w mieście urzędnikiem. Dlaczego porzucił wieś i chatę i rolę?... Bo malutkiego kęsa ziemi nie chciał dzielić na kawały — zostawił ojcowiznę bratu, a sam poszedł po pracę do miasta. Jest tu na nowym zagonie. Ci ze wsi patrzą na niego nieufnie, sądząc, iż zmienił się dla nich i stał się *panem*. Ci w mieście są dlań obojętni i zimni... A on w mozolnej i niewolniczej pracy biurowej myślą wraca ciągle do rodzinnej chatki, tęskni i czuje się ptakiem w niewoli. Nie zawsze życie „pańskie", urzędnicze, w mieście tak wygodne i słodkie jak sądzą niektórzy.

Książka ma tendencyę religijną — moralną i zupełnie jest odpowiednia nawet dla młodzieży.

* Księgarnia Gebethnera i Sp. nadesłała nam szereg swoich najświeższych jesiennych wydawnictw. Pierwsze miejsce między niemi zajmuje wspaniałe wydanie monografii St. Witkiewicza o Juliuszu Kossaku, ozdobione świetnemi reprodukcyami dzieł znakomitego artysty. Zasługę ma firma p. Gebethnera i Sp. przez ponowną edycyę „Pamiętników kwestarza" Ignacego Chodźki z dwunastoma rycinami. E. M. Andriollego. Książka ta powinna stanowić ozdobę biblioteki każdego polskiego domu.



Pomnik Ibsena w Chrystianii.

Dwa tomy poezyj Tetmajera w wykwintnej szacie są skarbnicami najświetniejszych brylantów pięknej mowy naszej; drugie wydanie seryi pierwszej nie jest, jak uprzedza autor w pięknej, dumnie ale z goryczą pisanej przedmowie, dosłownem powtórzeniem książki drukowanej w Krakowie dziewięć lat temu; wiele w niej jest utworów z lat dawniejszych, nigdzie dotąd nie ogłoszonych. O seryi czwartej przygotowujemy obszerniejsze sprawozdanie; dlatego tutaj notujemy tylko jej ukazanie się.

Z dziedziny romansu Gebethner dostarcza nam cztery tomy. Dwa z nich wypełnia p. Gruszecki, którego produkcya staje się coraz bardziej „rotacyjną". Za to bardzo zajmującą jest powieść „Miraże", podpisana nieznanym dotąd pseudonimem „Marion". Trzy utwory Wacława Sieroszewskiego: „Latorośle", „Pustelnia w górach" i „Czukcze" z ilustracyami K. Górskiego i J. Pankiewicza wzbogacają ślicznie „Bibliotecznę ilustrowaną". I o dzieciach nie zapomniał Gebethner. Drugie wydanie „Lasu" pani Maryi Weryho będzie rozchwytane przez naszych Milusińskich, którzy będą się z tej doskonale napisanej książki uczyć początków zoologii w łatwy i zajmujący sposób.

TEATR I MUZYKA.

* Leoncavallo bawi obecnie w Brissago w Szwajcaryi. Nowa jego opera „Zaza", której libretto jest z tegoż tytułu sztuki Bertona i Simona, daną będzie po raz pierwszy 10 lub 12 listopada w Théatre Lyrique w Medyolanie. Oprócz tego Leoncavallo pracuje nad wielką mszą żałobną, która ma być odegraną w Rzymie w rocznicę śmierci króla Humberta. Na początku r. 1901 chce też Leoncavallo doprowadzić do końca operę „Roland".

* Trupę niemiecką, przybyłą do Londynu dla dania tam seryi przedstawień z „Widm" Ibsena, spotkała niespodzianka. Oto rząd angielski zakazał dawać tych przedstawień z przyczyn dotychczas niewyjaśnionych.

* Saint-Saëns pracuje nad nową operą pod tytułem „Barbarzyńcy", do której libretta dostarczyli mu Sardou i Gheusi, opera będzie wystawioną w ciągu zimy na scenie Wielkiej Opery.

* Zdenko Fibich, słynny muzyk czeski, zmarł 15. b. m. w Pradze. Fibich, urodzony 21. grudnia 1850 r. w Seborczycach pod Czasławiem, studya muzykalne odbył w konserwatorium lipskiem (1865 r.), w Paryżu i Mannheimie u Lachnera. Wróciwszy w r. 1871 do Pragi czeskiej, został po przejściowym pobycie w Wilnie mianowany w r. 1876 drugim kapelmistrzem teatru narodowego. Obok Smetany i Dworzaka był to najulubieńszy i najzdolniejszy kompozytor czeski. Na wyróżnienie zasługują symfonie Fibicha: „Otello", „Zabój i Sławój", „Toman i nimfa", uwertury, kwartety smyczkowe, melodramy, pieśni, utwory chóralne a wreszcie opery „Blanik" (1877), „Narzeczona z Messyny" (1884) i trylogia „Hippodamia" (1890—91).

* Ewolucya muzyki. Paryski *Figaro* zamieszcza od pewnego czasu artykuły p. t. „Zdobycze stulecia", w których wybitni ludzie wypowiadają zdania swoje o postępach uczynionych w w. XIX we wszystkich dziedzinach sztuki, — w malarstwie, muzyce, architekturze i t. d. W jednym z ostatnich artykułów kompozytorowie bracia Paweł i Lucyan Hillemacher mówią o ewolucyi w kończącym się wieku. Dopatrują się oni wszędzie wszechpotężnego wpływu Wagner'a. On utorował muzyce w w. XIX nowe drogi i zniweczył stare formy. O ewolucyi symfonii w w. XIX mówić nawet nie można, bo symfonia zaczyna się i kończy Beethoven'em; cały rozwój tej formy muzyki wyrażony jest w jego dziewięciu symfoniach. Tak samo dzieje się z muzyką pokojową; Beethoven wypowiedział w swoich kwartetach instrumentowych wszystko, co tu jest do powiedzenia, Brahms i Franck są tylko epigonami, a obecnych kompozycyi symfonicznych nie można nawet równać z tamtemi; teraz piszą tylko poematy symfoniczne w rodzaju „Kołowrotka Omfali" Saint-Saëns'a.

P. T.

Podejmując poprzednie wydawnictwo „Kraj w obrazach" z przekonaniem, że nowość ta zainteresuje najszerszy ogół, starałem się przez dokładność materyału i dbałość o estetyczną stronę wydawnictwa, na które to warunki główny kładę nacisk, odpowiedzieć zadaniu pierwszorzędnej publikacyi illustrowanej z treściwemi, możliwie dokładnemi objaśnieniami, dotyczącemi dat historycznych, tudzież szczegółów odnoszących się do przeszłości i teraźniejszego stanu danej **okolicy, miasta, gmachu** lub **zabytku historycznego,** zebranych przez pierwszorzędnych pisarzy naszych. Ukończyłem Seryę I. „Królestwo Polskie" i przystępuję do wydawnictwa Seryi II. „Galicya w obrazach".

Wydawnictwo składać się będzie z 24 do 30 zeszytów, a każdy zeszyt obejmie widoki fotodrukowe w rozmiarze 19/24 ctm., a w ten sposób Galicya utworzy album z około 120 obrazów.

Odpowiedzialny redaktor na Galicyę: *Edmund Kolbuszowski.*
Wydawca: *Konstanty Woźniak.*

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: **Kazimierz Ehrenberg.**